



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgama i Spół., kwartal. 5 marek

WYCHOWANIE.

Dobre wychowanie: kształcenie dziecka do uczciwego i szczęśliwego istnienia w społeczeństwie bliźnich swoich, jest obowiązkiem rodziców. To wyrażenie matki biblijnej:—Otrzymałam człowieka przez Boga... przedstawia doskonale stosunek rodziców do dziecka, bo człowiek, to jest ta mała, nie jeszcze o świecie i życiu nie wiedząca istota, która im powierzona zostaje, aby pod ich wpływem, pod ich kierunkiem wyrosła do życia wśród ludzkości, spełniając uczciwie przeznaczenie swoje na ziemi. Niemoc umysłu dziecka, niewiadomość życia i otaczającego go świata sprawia, że najpierwszym objawem budzącego się rozumu jest naśladowanie: uczy się ono żyć na wzorach otaczającego go życia, otrzymując w ten sposób pierwsze kształtujące wpływy, które przez moc przyzwyczajania dają kierunek rozwijającym się skłonnościom. Wielka znajomość człowieka zawiera się w starym tym aforyzmie, że przyzwyczajanie jest drugą naturą naszą, i wychowanie w znacznej części swojej polega na przyzwyczajaniu — na mocy, jaką przyzwyczajanie posiada nad nami. Dobre lub złe przykłady: szlachetne lub poziome obrazy życia, toczącego się przed oczyma istoty młodej, urabiają ją moralnie, bo wytwarzają skłonności — namiętności duchowe, nigdy u najsilniejszych nawet charakterów nieprzechodzące bez pewnego znaczenia.

Przyzwyczajania przygotowują w głębi człowieka grunt do przyjęcia takiej a nie innej idei życia, a jakkolwiek nie ujawnia się to dostatecznie nazwano, idea rządzi i rządzić będzie

zawsze ludźmi, i ona-to, choć jest abstrakcją, tworzy byt nasz realny, bo życie kształtuje się nieuniknienie na obraz i podobieństwo tego, co w idealnym zarysie pojęć o doł i niedoli człowieka przedstawia się umysłowi naszemu. Jeżeli też rodzice pragną silnie i szczerze, aby dzieci ich szły drogą życia, wiedzącą do szczęścia przez cnotę, należy im stać mocno przy uspasabiającym do tego kierunku wychowawczym. Trzeba przede wszystkim aby to, co jest w umyśle ludzkim światłem pojęciem dobra — piękna duchowego, stało tu wyżej, niżeli myśl o zyskach, zarobkach materyalnych i przewodnicząc trudom rodzicielskim, szło przed dziełem spełniającego się urabiania dusz młodych, jak owa kolumna światła, wiedząca Mojżesza przez pustynie. Należy też rodzicom, matce każdej, mieć w umyśle jasno postawiony obraz tego, co mianowicie stanowi uczciwość, dostojność duchową człowieka, a im wyraźniej odbijać się będzie w czynach, w postępach życia rodzin ten ideał moralny, tem doskonalszym i zarazem łatwiejszym stanie się dzieło wychowania.

W starożytnym Rzymie rozumiano przez nazwę pedagoga osobę, której obowiązkiem było pilnować u dzieci przyzwoitego układu i broń je od zetknięcia się z czemś szkodliwym, z czemś mogącem stać im się ujmą jakąś w zakresie fizycznego, lub moralnego dobra. Pedagog uczył je zatem nie tylko tego, co jest wiadomością naukową, w książkach złożoną, lecz uczył je i żyć — żyć tak, aby życia samego ruch i wpływy szkody im nie przyniosły, i takim jest przedewszystkiem zadanie rodziców, tak matki, jak ojca — zadaniem wychowania wogóle. Nauka rozjaśnia umysł, kształci jego zdolności, rozszerza przez daną mu wiedzę zakres myśli, jest więc źródłem światła i ztąd staje do pomocy życiu naszemu w kierowaniu się rozumem wśród różnych dróg tego życia. Wychowanie urabia charakter: odbija na pryzmacie duszy młodej obrazy dobra,

pięknego moralnego, które przedstawia istocie nieświadomej jeszcze życia, jako wzory do naśladowania — pomaga zatem do tego, aby jej myśl, jej uczucie zwracało się w stronę tego dobra, tego piękna, daje zatem nie tylko nawykniom, ale i ukochaniom kierunek pożądany. Tworzy to niejako kadry dla życia, bo tak można nazwać wpływy wychowawcze: kadrą, w które z kolei nauka wprowadza światło wiedzy, a przy jego blasku człowiek przyjmuje już świadomie dobro, jak świadomie złe odrzuca. Najlepsze wychowanie bez rozjaśniającej umysł wiedzy daje tylko to, co Rousseau nazwał cnotliwymi ualagami, ale naodwrot nauka bez pomocy zaszczerpionych nam cnot szlachetnych nie uczyni nigdy istnienia ludzkiego doskonale dobrem i szczęśliwym. Przecież rzeczywista wartość, rzeczywiste korzyści nauki nie ograniczają się do wiadomości jakie daje; rozwój zdolności umysłu, sąd jego doskonalszy, na szlachetniejszych, podnioslejszych motywach życia oparty, jest tu owocem najważniejszym.

Stary mędrzec grecki, Sokrates, już to rozumiał i powiedział, że „gdyby nauka nie czyniła umysłu ludzkiego jasnym i sprawiedliwym, byłaby szkodliwą, bo dostarczała by więcej środków czynienia złego.“ Ale na szczęście a zarazem na chwałę człowieka światło, które wiedza wyższa przynosi ze sobą, rozjaśniając nam drogi życia, wyznacza niemal zawsze przez ukazany nam cel istnienia podniosły, dążenie w stronę życia szlachetnego.

Rozbudzenie uczucia godności osobistej powinno też być jednym z najważniejszych zadań wychowania, które może następnie czynić z niej sobie wielką siłę — wielką dźwignię działania. Skoro tylko jest ono prawdziwym, nie ogranicza się bynajmniej do względów na opinią ludzką, bo dla tego, który je posiada istnieje trybunał inny jeszcze, surowszy i głębiej badający istotę czynów naszych: sąd własnego sumienia. Opinia

sądzić może tylko widoczną, dotykającą stronę rzeczy, sumienie zna wszystkie działające tu pobudki — zna najskrytsze myśli nasze i obok tego, cośmy dokonali, bierze liczbę z tego, co zaniedbanem zostało. Człowiek, posiadający rzeczywiste uczucie godności swojej, musi szanować sam siebie, aby się czuł zadowolonym z życia, a w jego własnej piersi mieszkający, nigdy i niczem nieprzekupiony świadek, to sumienie!.. Wyniosłość ambitna jest wadą wielką i obfitą w nieobliczone następstwa złego, w nieobliczone następstwa nieszczęścia, ale szacunek samego siebie potrzebny jest każdej istocie ludzkiej, aby dostojnie i uczciwie żyć umiała. Trzeba też rozbrajać go wcześniej w piersi młodej, bo on pomaga nam iść pod tę górę, która zowie się życiem wyższem — on to sprawia, że ludzie szlachetni pragną wraz z poetą mieć pierś „na miarę nie krawca, ale Fidyasza...”

Uczucie godności osobistej, uczucie honoru, powinno też być stawianem w wychowaniu tuż obok uczucia obowiązku, które podpira, a gdy je posiadają jednostki w liczbie przeważnej, posiada je i ogół: na szlachetnym pojęciu obowiązków i celów życia zarysowany typ dostojnego człowieczeństwa. Należy przeciw wychowawcom baczyć pilnie, aby nie wcisnęła się tu próżność, liche pragnienie błyszczenia, wyniesienia się nad innych i do najważniejszych zadań wychowania zaliczyć też trzeba wprowadzenie w umysł młody tych szlachetnych pojęć o życiu, które uczą, co jest prawdziwą dostojnością człowieka, bo wtedy wysoko postawiony ideał człowieczeństwa nie dopuści nędznej miłości własnej i pychy, opartej na motywach samolubnie pojmanego życia. Najlichszą, najnędzniejszą formą próżności jest chęć błyszczenia przez majątek, wywyższanie się nad innych na zasadzie posiadanego grosza, i młodość szlachetna nigdy też nie ulegnie zboczeniu temu, niemniej wychowaniu pilnować należy, aby się tak nie stało. Nieraz wygórowana miłość własna, gdy się spotyka z wyższością, wobec której niższą się widzi — z wyższością umysłu, ucieka się do tego nędznego środka ratunku, który przecież może wyniszczyć wszystko, co w duszy ludzkiej jest dobrem i pięknem moralnym. Dać poznać młodości co jest prawdziwą wzniosłością wśród życia, to postawić przed nią cel dobry, do którego niech dąży, zagrzana ambicją szlachetną, bo gdy ambicyi takiej brakuje młodości — gdy przywiązana do rzeczy małych i niskich nigdy wyżej myślać się nie wniesie, jest ona, jeżeli nie limfatyczną i gorąco czuć nie zdolną, pozbawioną szlachetnego zapału, to przyrosła do niższych, poziomych zadań życia. Poeta nie mylił się też, rzucając młodości to hasło:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj i okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!...

Sumienie, ta wewnętrzna straż człowieka, która ostrzega go niepokojem, lub smutkiem, gdy popełni coś, co jest winą — co jest niedoborem cnoty, potrzebuje niemniej, aby kształconem było, aby wiedza złego i dobrego złożona już w dziecku młodem zbudzoną w nim wcześniej została i do najważniejszych zadań wychowania należy to właśnie. Gdy dziecko zada komuś ból, uczuwa prawie zawsze żal: trzeba też idąc za tą wskazówką natury, sumienie młode budzić wobec wszystkiego, co jest następstwem zła, co jest w stosunku do bliźnich bezprawiem. Uczucie sprawiedliwości jest wrodzonym człowiekowi, ale nie posiada go egoista, bo ten wszystko do siebie, do własnego swego interessu wyłącznie odnosi i zwalczyć też należy w dziecku samolubstwo takie przez wzruszenie jego uczuć lepszych. Jeżeli bezprawnie coś komu zabierze, jeżeli sobie coś bezprawnie przywłaszczy, trzeba mu dać uczuć jaką szkodę bliźniemu wyrządził, jakie cierpienie zadał a na chwałę rodzaju ludzkiego twierdzić można, że tylko wyjątkowo przekonana tak o winie swojej istota młoda nie uczuwa żalu, nie uczuje zgryzoty sumienia. Jeszcze

Helwecyusz dowodził, że dwa wzruszenia serca ludzkiego: uczucie litości i uczucie sprawiedliwości stanowią podwaliny społecznego naszego życia i w wychowaniu dziecka należy też działać za pomocą tych motorów od lat najmłodszych. Nie dość dziecku coś zakazywać, a coś nakazywać, trzeba jeszcze w odpowiednim kierunku uczucia jego wzruszać i trafiać do jego rozsądku, wykazując co jest w stosunkach życia naszego da innych prawem, lub nieprawem. Nie jest ono jeszcze zdolnem przetrwać sobie w umyśle pojęć oderwanych, trzeba też, spiesząc na pomoc temu stanowi, nastęrczyć mu praktykę cnót pewnych, aby zdołało uczuć rzeczywiście, prawdziwie, różnicę między złem a dobrem i dziecko młode kształci się głównie do dobra, do cnoty wtedy, gdy tego dobra, tej cnoty praktykę spełnia. Synek Darwina, niemający skończonych lat trzech, gdy raz oddał siostrze z własnego popędu piernik posiadany, zawołał radośnie: — „Doddy grzeczny! Doddy dobry...” — był to zatem dla niego czyn szlachetnie spełnionej ofiarności, czego świadomość istniała już w umyśle młodziuchnym, a że napełniła i serce zadowoleniem słodkiem, dowód to instynktownej miłości dobra w człowieku — instynktownej dumy z tego, gdy dobrym być zdoła. Wychowanie nie powinno też nigdy uczucia tego przytłumiać, ani brać za objaw nagannej miłości własnej, lecz jedynie pilnować aby było szczerem. Niech człowiek kocha w sobie cnotę, a złączy się przez to uczucie szlachetne ze wszystkim, co jest dobrem w ludzkości, a gdy z kolei wiedza, nauka rozświeci jego poglądy na życie, dosięgnie tego stopnia podniosłości duchowej, która go uczyni osobistością uczciwie dostojną.

Wystrzegać się należy w wychowaniu wszelkich kar poniżających; ranią one boleśnie tę dumę dziecka, która się na szlachetnej ambicyi opiera, i rozdrażniając charaktery silniejsze, przynębiając słabsze, przez przytępienie w nich uczucia godności osobistej, która jest dźwignią moralną człowieka. Jeżeli zadaniem wychowania jest, jak twierdzi szlachetny myśliciel niemiecki, Richter, aby wyprowadzało z głębi istoty młodej jej ideał, to również strzedz się należy, aby nietaktowne postępowanie wychowawców nie wywołało z owej głębi tego, co jest w namiętnościach człowieka złem: uniesienia gniewu, zaciętości upornej, zuchwałego lekceważenia tej władzy wychowawczej, która przedstawia tu rządzące życiem naszym prawo. To wszystko, co w istocie młodej jest nagannem, i to, co jest w niej chwalebne, może się tu razem zmieszać w wybuchu odpornym i jak trudnym, jak niebezpiecznym jest wtedy położenie wychowawcy, który usłuchanym być powinien, ze względu już nie na niego, na jego miłość własną, ale dla utrzymania wobec dziecka powagi władzy wychowawczej, którą przedstawia. Wychowawcy należy też być psychologiem — należy mu znać człowieka w jego stronach złych i dobrych, aby przeciwstawiając się temu, co stanowi zarodek złego, podnosił i wywoływał do życia to, co jest ziarnem na zasiew cnoty. Wychowywać do dobra przez dobro — to powinno być tu hasłem i ramami programu wychowawczego.

(Dokończenie nastąpi).

W JESIENI.

przez

Juliusza Sturm'a.

— O czem ja śpiewać będę
Wśród chłodnych dni jesieni?
Jaką nutę wyprzedę
Z tych pół światła, pół cieni?

— Śpiewaj to, co ci wiosna
Budziło serca bicie:
Tchnęło siłą radosną,
W piersiach nieciło życie...

Prawda, dobro i piękno
Nigdy blasków nie zmienia
I ludzie zawsze klękają
Przed światłem tych promieni.

F.

KOBIETA z XVIII-go STULECIA.

(Dokończenie).

Odpisywał i odpowiadał wszystkim jednakowo że w nauce widzi on przedewszystkiem moc nie tylko uszlachetniającą, ale i uszczęśliwiającą człowieka, bo podnosi go ona nad drobne troski i pożądaną, drobne nędze ludzkości, jest też pociesicielką jego wtedy nawet, gdy braknie mu innych, od losu zawisłych życia uszczęśliwień. Przytoczył tu zdanie Cyserona, że nauka jedynie nie opuszcza nigdy człowieka, że towarzyszy mu do starości, wspierając go i od nudy smutnego życia broniąc.

Posypały się też różne naukowe godności ze strony naukowych towarzystw, oraz uniwersytetów, nie tylko niemieckich, i jeżeli nieraz kobieta uczona bywa celem przekasów ludzkich, tu miejsca to nie miało, a przynajmniej nie w tej sferze, wśród której obracała się Dorota i co jest rysem charakterystycznym, że teraz właśnie spotkała człowieka, który pokochał ją i pokochanym został: Mateusza Rodde, burmistrza Lubeki, już wdowca, ale bezdzietnego, przytem człowieka używającego między swemi współziomkami wielkiej sławy uczciwego człowieka i dobrego obywatela. Był przytem bardzo bogaty i los darzył teraz uczoną tę kobietę samemi uśmiechami. Troje zdrowych, pięknych dzieci przyniosło nowe pociechy i uciechy życiu, któremu teraz nie już nie zdawało się brakować. Wychowywała je osobiście, tak jak osobiście zarządzała całym gospodarstwem domu męża, i był to teraz drugi egzamin — wyższy, ważniejszy od pierwszego, a który rozwiązał dopiero najskuteczniej to zagadnienie sporne, czy wyższa wiedza, wyższe wykształcenie umysłu kobiety może się pogodzić ze spełnianiem jej obowiązków w rodzinie — z jej niewieściem przeznaczeniem w społeczeństwie? Ojciec jej mógł triumfować teraz i tryumfował niewątpliwie: uczona kobieta umiała być dobrą matką i żoną, dobrą domu swego rządczynią a nauka posiadana, wiedza wyższa nieprzeszkodziła jej w tem bynajmniej, lecz przeciwnie pomagała, wykazując oświeconemu umysłowi ważność zadań kobiety u domowego ogniska — podnosząc nad pobożność lekdomowską: nad potrzebę nieustającej zabawy, nieustającej rozrywki, która jest niezawodnie skutkiem nicości umysłu. Stary akxiomat łaciński, że natura próżni nie znosi, dowodzi się okrutnie na życiu kobiet takich, które, nie znajdując w sobie nic, co by życie zapełnić im mogło, poszukują tego poza sobą — poza kołem obowiązków, których wagi zrozumieć nie umieją, nie zdolne do przedstawienia sobie w umyśle wielkiej całości życia, z drobnych szczegółów złożonej. Uczucie rzuca tu kobiecie linę ratunku: jest to wielka, ogromna podpora, ale niezawsze dostateczna, aby przy jej pomocy jedynie człowiek wywiązał się dobrze z tych zadań, dla których sam instynkt serca starczyć nie może. Że rozum oświecony ma nad natchnieniem takiego instynktu tylko wyższość ogromną, wątpić nie można i taki-to rozum powiedział Dorocie Schlözer najpierw, że obowiązki raz przyjęte są rzeczą świętą, następnie, że

wyższymi może od wszystkich innych — najwyższymi są powinności matki, która w zawiadywaniu swojem, pod straż swoją „otrzymała człowieka przez Boga“. Więc też rozumna i uczciwa umiała być dobrą matką licznej rodziny, dobrą żoną dobrego również męża, którego zamożność pozwalała jej używać różnych przyjemności życia, pożądanym przez umysł oświecony i ojciec jej umierając mógł powiedzieć sobie, że w wychowaniu córki nie popełnił jednak omyłki: że wyższa nauka nie zwichnęła bynajmniej jej niewieściej istoty i tylko pozwoliła rozwinąć się harmonijnie wszystkim obdarowaniom i siłom jej natury.

Ale aż dotąd nie przeżyła ona jednej jeszcze próby życia: ogniowej próby nieszczęścia. Śmierć rodziców była stratą i cierpieniem z zakresu koniecznych przynależności istnienia naszego na ziemi, lecz z kolei i inne, mniej spodziewane doświadczenia losu przyszły doświadczać sił jej ducha. Wojna, ta okrutna klęska ludzkości, trącająca wszystko, co na drodze swej spotyka, ukazała się nagle na horyzoncie jej spokojnego, cichego istnienia, jawiąc się w łunie pożarów z jej kłębami tysięcy. Bitwa pod Jeną sprowadziła armię francuską pod Lubekę, która była teraz miejscem jej zamieszkania; miasto zostało wzięte szturmem — zostało okrutnie zrabowane przez zwycięzkiego nieprzyjaciela, dom jej nie ucierpiał przecież tego, co inne, bo dawny znajomy z lat młodych, Franciszek de Villiers, ceniący w niej kobietę wyższą, obronił ją od tego a także i marszałek Bernadotte, dał jej tak teraz, jak i później w 1813 r., dowód wysokiego szacunku jej osoby, zasłaniając swoją opieką od przeżyć okrutnych, które wojna wiedzie za sobą, ale jest to jej koniecznością nieubłaganą, której nikt już obejść nie może, że tamuje regularny bieg życia społecznego. Majątek rodziny Rodde opierał się przeważnie na handlu, którego zastój, konieczny w takich czasach, wiedzie za sobą i straty konieczne, wiedzie bankructwa, i los ten spotkał też jej męża, ubożąc nagle rodzinę, a ją raniąc w najdroższych jej nadziejach, bo w myślach o przyszłości dzieci. Życie jest na to, aby uczyniło istoty tak szlachetne jak ona, cierpieć spokojnie, przecież gorzka skarga brzmi w jej liście do przyjaciółki: „Skończyło się już szczęśliwe życie tej Doroty Schlözer, którą dobry ojciec usiłował tak wychować z pomocą sztuki i filozofii, aby stać mogła ponad próbami losu“.

„Byłoby tak niezawodnie i umiałabym radzić sobie, gdyby chodziło o mnie samą...“ Że jednak chodziło tu o jej dzieci, filozoficzny pogląd na życie nie mógł usunąć cierpienia. Najciężej bolała nad zmianą losu dwóch córek swoich, z których jedna już siedmnaście, druga piętnaście lat miała. Dziękuje przecież Bogu w dalszym ciągu listu, że nigdy nie dopuszczała do ich umysłu takich pojęć o szczęściu, któreby się opierało przeważnie na dobrobycie, na używaniu — że je wychowywała w prostocie i oszczędności. Ale świat, które je z konieczności otaczał, inne miał poglądy na życie, i przytacza z gorczy słowa Beaumarchais'go, że świat ten klęka jedynie przed cięciem złotym. Dla samej siebie nie żałuje straconej fortuny i pisze w dalszym ciągu listu, że „kto tak jak ona, przeżył już lat czterdzieści, wie o tem, iż może mu być wytartem jedynie to, co jest rzeczą, zewnętrznym tylko do niego należącą, ale nigdy nie odbierze tego, co jest niepodzielną częścią jego istoty, — tego co jest jego istotą samą. Większość ludzi nie umie przecież pojąć różnicy między „mieć a być“ i ztąd szekspirowskie: to be, or not to be... (być albo nie być) przedstawia im się jak coś niejasnego“.

Ona umiała być... umiała istnieć na świecie w szlachetnym znaczeniu tego wyrazu. Z wiedzy posiadanej umiała sobie to dla życia wyciągnąć, co czyniło ten jej byt wśród wszelkich prób i przeżyć losu istnieniem czystym i uczciwym, więc w zgodzie z celem, ku któremu tak mężkie jak kobiece życie jednakowo dążyć powinno. Majątek nie zrobił też z niej leniwej i rozbawionej, używania światowego jedynie żadnej istoty, więc stratę tego majątku przyjęła bez żadnego żalu ze względu na siebie, ze spokojną ze względu na dzieci rezygnacją. Ojciec jej nie omylił

się bynajmniej w tem pojęciu istoty kobiecej, że wiedza szersza, że nauka poważna i gruntownie udzielana, nie oderwie jej bynajmniej od rodziny i niewieściom jej przeznaczeniem wśród ludzkości żadnej szkody nie przyniesie, a tylko, uszlachetniając jej pojęcia o życiu, stanie jej się jedną z najsilniejszych życia tego podpór. Te kobiety lekkomyślne, które pod kłamliwie wywieszonym sztandarem równości kobiety z mężczyzną w jej prawach do światła, do wiedzy, wyzwalały się z obowiązków pracy na dział kobiecości przypadających, fałszując ideę postępu i czyniąc zeń drogę bezprawia, bo są niezaprzeczane różnice w przeznaczeniu kobiety i mężczyzny. Nie jest też bynajmniej równością, aby wszyscy podejmowali jedną i tę samą pracę wśród ludzkości, bo stałby się wtedy ścisł na jednych polach, gdy drugie leżałyby odłogiem. Ale być w zakresie swego powołania, przez naturalny podział zajęć wytworzonego, czynnym i pożytecznym członkiem ludzkości i wyzwolić się z wad kobiecości a szlachetne kobiecości cnoty rozwinąć: dać im na podporę ten, niewieściego przeznaczenia bynajmniej nie zaprzeczający, lecz niewieście to przeznaczenie górnym pojmujący rozum — to jest w danym kierunku pożądanym postęp, droga jedyna do szczęścia, do godności płci obu. Tak też niewątpliwie pojmował Schlözer emancypacją kobiety, bo było umysł za wysoki i za jasny, aby nie widział przez naturę samą już zaprowadzonego podziału prac i obowiązków: różnic koniecznych i chciał też jedynie aby światło wykształconego przez wiedzę rozumu przyświecało każdej istocie ludzkiej, stając do pomocy w jej pracach, w jej obowiązkach życiowych. Tegosamego pragnie w kilkadziesiąt lat potem Zmichowska, gdy czując w piersi szlachetne poezji uniesienie, woła:

Nie być mężczyzną, nie być kobietą,
Prawem co ludzie, marnie nakręślą,
Lecz być uczuciem, pojęciem, myślą,
Dziewczyzną, to być poetą...

I tak na wszystkich życia drogach: mieć uczucie, myśl, pojęcie rozumne życia i jego obowiązków, a życie to, czy kobiety, czy mężczyzny, będzie zarówno użyteczne, równo zasłużone ludzkości i szanowane, czone w miarę zasług swoich do tyła, że wobec kobiety, która dobrze myśli, dobrze czuje, ma w piersiach iskrę Bożą szlachetnego zapалу, tak poeta jak myśliciel zawoła: — Dziewczyño! tak oto jest się dostojnym człowiekiem...

M. I.

„PRZEKŁĘTY RÓD“

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg)

— Dobrze się oni konserwują, księżę proboszczu, i do wiatru plecami się zwracają. Nad rachunkami nie ślęczą, pomarańcz nie sprzedają, dobro kraju głów im nie rozpięra, nie tak prędko też dyabli ich biorą!

Ksiądz podskoczył i zaczął szybko trząść głową:

— E, e, moiści dobrodzieju! takie rzeczy gadasz, że chrześcijaninowi wstyd słuchać nawet. Co za wyrazy pfe!.. dyabeł, pfe!.. Nie godzi się, brrr, pfe! komu a komu, to właśnie im w oczy wiatr wieje, a i waćpan nie w tył im dmuchasz.

Ignacy śmiał się z oburzenia księdza Cyryaka, aptekarz zaś przełożył nogę na nogę i poruszając w takt głową, tak zaczął:

— We dworze nic się nie zrobiło, ja powiadam!...

— Zkąd pewność, moiści dobrodzieju? — zapytał proboszcz, podnosząc się na palcach i zaraz na pięty się osadzając.

Pan Onufry poruszył się.

— Pewność!.. — mruknął. — Przez kombinacje i przypuszczenia, dochodzimy do rzeczywistego stanu rzeczy poznania. Więc...

Postawił trzy palce lewej ręki, a wskazujący prawej ku górze uniósł.

— Gdyby pan Krzyżtof zaniemógł, to... Po pierwsze...

Tu jeden palec znikł z trójki pod uderzeniem wskazującego.

— Siekacza-by od siebie nie puścił.

Ksiądz kiwnął głową.

— Po drugie.

Tu uderzył znów wskazującym.

— ...zawiadomilby o tem księdza.

— Racja! — zawołał proboszcz.

— Szlachcie bez księdza, jak myśz bez sadła, nie obejdzie się — mruknął półgłosem Targaniec.

Ksiądz dolną szczękę wykrzywił, i zezem spojrział na mówiącego.

— Po trzecie... — ciągnął aptekarz — wezwął by mnie.

Proboszcz usta przydłużył i rzekł przeciągle:

— Nooo... to niekoniecznie! Pan Krzyżtof, moiści dobrodzieju, twoim lekarskim zdolnościom nie bardzo ufa...

— Wiem ja, że ich nigdy nie opuszczają przesady, mądrale! — zawołał podniesionym głosem pan Kopytko. — U nich lekarz, to już jest Panem Bogiem, a ja księdzu powiadam, że ci rrrrenomowani lekarze, nie wiele tam więcej odemnie wiedzą. Powiadam: nie-wie-le wię-cej!

— Zawsze więcej — rzucił zpod wąsa Ignacy.

Ksiądz brwi podniósł.

— Nauka, moiści dobrodzieju.

— Praktyka! księżę proboszczu. W Żabieńcu od Noego lekarza nie było, i co? Czy powymierali wszyscy? Czy lepiej dzieje się tym, którzy za słone pieniądze sprowadzają lekarza z Rokitnej, czy tym, którym ja radzę?

— No, widzisz, moiści dobrodzieju, zawsze...

— Przesąd, głupota i fuma pańska! Ja, jak wiadomo, muszę ze swoją praktyką się ukrywać, ale i ksiądz proboszcz komu zawdzięczaś wyzdrowienie? Mnie czy lekarzowi z Rokitnej?

— Kazałeś mi gorącej kaszy pod łyżeczkę położyć, — wielka medycyna! Taka to i choroba była, gdy kasza pomogła.

— Kasza! kasza! — wołał zaperzony pan Kopytko. — Wam zaraz mixtur potrzeba, wód mineralnych, plastrów, wstrzykiwań, jodyny i antipiryny i Bóg wie nie co! Mogłbym i ja to wszystko naraz przepisać, ale po co, kiedy to samo i kasza zrobiła? Mądrością jest, prostymi środkami wielkich dokonywać rzeczy, — ja powiadam!.. Et, księżę dobrodzieju, co to gadać!.. Ja jestem na drodze do śla... zrobiłem wynalaz... Zobaczcie! cierpliwości tylko, potem śmiać się będziemy! *Ry-ra bien ki ryra le durniè*, po francuzku mówiąc.

— *Durniè*... To ostatnie dobrze powiedziano — szepnął proboszcz, lewem okiem na Targańca mrugając.

— Ksiądz rozumie? — ciągnął dalej aptekarz.

— Ojoj!.. utarty bardzo wyraz.

Pan Onufry był przekonany, że wynalazł specyfik na suchoty. Nie myślał tu wcale wchodzić w drogę Kochowi o którym zresztą nie nie słyszał i słyszeć nie mógł, gdyż na wiele lat przed metodą sławnego doktora niemieckiego przemieszczał w Żabieńcu, robił próby tajemne i zwierzał się przyjaciółom z odkrycia. W skuteczność swego wynalazku wierzył święcie, upewniło go jeszcze bardziej uleczenie, cudowne iście, pewnego żebraka. Próby ze swoim specyfikiem robił dotąd na kaszlących psach, owcach i kozach żydowskich. Psy po kilku tygodniach kuracji przestawały kaszlać, owce i kozy daleko prędzej. Oczywiście, że środek skutkował. Na ludziach jednak bał się próbować. Gdy sam raz kiedyś zachorował i blizkim był dostania suchot, postanowił zrobić próbę na sobie, ale zawahał się. Obawiał się wypadku, któryby ludzkość pozbawił wynalazcy, a z nim i specyfiku. Wezwał więc lekarza z Rokitnej. Tymczasem czekał innej

okoliczności i ta mu się nadarzyła w postaci żebraka włóczęgi.

Było to zimą; mroź siarczasty skrzył się w kryształach zamartwionych okien, psy do bud swoich się chowały.

Przed apteką stanął dziad, z torbą na plecach, prosząc o datek. Dławił go kaszel okrutny.

Pan Kopytko zmierzył okiem stojącego przed sobą żebraka i szepnął w duchu:

— Suchotnik!

Oczy zabłysły mu radością: — Próba! kto wie? może tryumfalna próba..

— Kaszlesz dziadu? — zapytał.

— Och, panie, strach jak!

— Dawno?

— Już cztery niedziele, jak duszę wyrzucam i nie!

— Suchoty! na pewno suchoty — mruknął aptekarz — i zwrócił się znów do dziada.

— A jeżeli ja ciebie wyleczę, to co?

— Próbował już tego i doktor z Rokitnej...

— Dureń! — burknął aptekarz... — Co on wie? Chodź za mną.

Po paru minutach pacjent pana Onufrego znalazł się w osobnym pokoju. Dano mu łóżko wygodne, pościel, watowaną kołdrę, a do tego z rozkazu pana aptekarza napalono jak w łaźni. Nad wieczorem zażyło dziadziśko onego specyfiku, po wypiciu którego pan Kopytko zalecił pacjentowi, by zaraz do łóżka się udał i okrył uczciwie.

Dziadowi nie trzeba było dwa razy powtarzać: buchnął na pierzyny i chrapać zaczął. Kaszel jednak nie dawał mu spokoju, pan aptekarz słyszał przez ścianę jak się ksztuścił i dławił.

Około północy dawkę zdwojono.

Aptekarz udał się na spoczynek, ale kaszel dziada spać mu nie pozwolił. Wyczekał jeszcze godzin parę i potrójną dawkę zażył rozkazał. Dziad wypił i kaszlał dalej, ale panu Kopytce się zdało, że nie tak forsownie. W każdym razie sąsiedztwo chorego pacjenta nie dozwoliło mu oka zmrużyć do świtu prawie. Nad rankiem usnął znużony; obudził się około dziesiątej. Dziad przestał kasłać.

Pan Onufry przyłożył ucho do ściany.

Cisza..

— Czyżby? — szepnął z uśmiechem, i zerwał się nagle. Włosy mu się najeżyły na głowie i lekko trząść się zaczął.

— A jeżeli... kipnął?

Wybiegł z pokoju i wpadł do chorego.

Dziad leżał na łóżu, okryty kołdrą i spał jak anioł. Ogrzał się, wypocił i kaslać przestał.

— Tryumf nauki! — krzyknął aptekarz. — Noc całą nie spałem, ale praca dla dobra ludzkości w poświęceniu niema granic... Filantropia jest wzniosłą ideą!

Zatrzymał dziada jeszcze sześć dni, symptomata suchot nie odnowiły się. Dnia siódmego kazał mu się wynosić, ale dziad wcale sobie tego nie życzył. Filantropijna ręka za kołnierz go wyrzuciła.

— Pracowałem — mówił teraz do Targańca i księdza — pracowałem dla dobra ludzkości i wiem co zrobiłem.

Wyraz twarzy tajemniczością świecił, ale ksiądz Cyryak nie dopytywał się wcale, tylko podnosił się, to opuszczał na pięty. Ignacy zaś z zębem patrzył na żabienieckiego Kolumba.

Zmierzył, pan Onufry proponował preferansę z kotłem. W gabinecie aptekarza zasiedli do gry, ale szczęście nie służyło panu Ignacemu. Stawiał remizy za remizami, zirytował się wreszcie.

— A to psie szczęście! — zawołał, rzucając karty o stół, które samymi młódkami zaświeciły mu przed nosem.

— Fortuna jest ślepą — zdecydował aptekarz. — Cierpliwością jednak możemy zwrócić ku sobie zmienne jej łaski.

— Ja jeszcze waleta tego wieczoru nie widziałem. No, idzie! — sarknął Targaniec.

— W miłości za to, mości dobrodzieju — mruknął ksiądz Cyryak, oznajmiając totusa.

Pan Ignacy westchnął.

— Gdyby tak było, księżu proboszczu, może-bym się nie gniewał.

— A dla czegoż niema być? Odwagi tylko.

— I pewności — szepnął kupiec.

— Nie zawsze odwaga z pewnością chodzi w parze — rzekł aptekarz. — Są ludzie rzucający się w wir wypadków, bez pewności, że tamtąd wyjdą ocaleni. Odwaga gardzi pewnością, pewność wyklucza odwagę. Negacya jest wzajemną cechą odwagi i pewności.

Ksiądz bębniąc palcami, zaśpiewał:

Rwał chłop dziczki w lesie
Przed wieczorem zrana;
Wszedł pies do kurnika,
Nie znalazł barana.

— Nie w sam raz to piosenka, ale zawsze, mości dobrodzieju, zwróć na nią uwagę!

Około północy skończyła się pulka. Ignacy, przegrawszy sporo grosza do gościa i gospodarza, pożegnał partnerów i udał się do siebie. Położył się, ale spać nie mógł. Nareszcie zmógł go sen. Śniła mu się Anusia podlewająca kwiaty, patrzyła na niego oczyma jasnymi jak niebo i usta mu dawała do pocałunku. On pochylił się, lecz między nich wsunęła się miedziana tarcza z runicznymi znakami, i zakryła sobą postać dziewczyny. Ignacy kląć zaczął... wtem obudził go turkot.

Była godzina czwarta nad ranem. Turkot resorowego powozu wznosił się wciąż, później zaczął przycichać, aż zniknął gdzieś w oddaleniu. Pewnie powracał Siekacz z wycieczki. Ignacy na drugi bok się obrócił, ale już w sennym marzeniu nie widział Anusi. Prześladował go ciągle ksiądz Cyryak, śpiewając niezmiennie: „rwał chłop, wszedł pies“, za każdym razem podnosząc się to opadając na pięty.

Wstał, jak zwykle, o godzinie w pół do ósmej i wziął się do roboty. Dzień cały mu przeszedł na wyładowywaniu nowo - przywiezionych towarów i przeznaczeniu dla nich miejsc właściwych. Prócz tego w okolicznych wsiach kilka tańczących wieczorów było, musiał więc przygotowywać paki układać pomarańcze i cytryny, daktyle i figi, sprawdzać rachunki, liczyć pieniądze, zapisywać towary na kredyt wzięte. Cieszył się ze wzmagającego się ruchu i nie zauważył jak dzień mijał. Nazajutrz udał się do pani Weroniki i poprosił o pozwolenie starania się o rękę Anusi.

Pani Weronika o mało nie klasnęła w dłonie z radości. Anusia wygrywała los wielki.

— Jak pani sądzi, czy panna Anna nie będzie przeciwna zamiarom moim?

— Naturalnie! — podchwyciła szybko matka. —

Wypytam córkę, ot dla formy, bo wiem, że pan się jej podobal panie Ignacy.

Targaniec nachylił się i ucałował rękę pani Weroniki.

— Zatem jutro, około południa po słowo przyjdę — rzekł, powstając z siedzenia.

— Dobrze, dobrze! Ja Anusię objaśnię o co chodzi, bo powiem panu otwarcie, że nigdy z nią nie mówiłam o takich rzeczach. Pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

Na pożegnanie pocałowała w czoło pana Targańca.

Ignacy wyszedł uszczęśliwiony i resztę dnia spędził na wybieraniu pomarańczy i innych bakalii które miał w pięknym koszyku zanieść jutro Anusi. Był to pierwszy podarunek kochanka. Ręka mu drżała, gdy z papierków rozwijał owoce, układał długie lodygi daktyli i suszonych winogrom, przeplatając kółkami fig, a miejsca próżne wypełniając złocistymi perłami tureckich orzechów. Nie żałował nawet kilku strączków wanilii umieścić i dosypać garści wyborowych migdałów. Szczęśliwy był tak! Czuł, że jest szczęśliwym!

Nie mniejsza radość nappełniała i pani Weroniki serce. Po wyjściu Ignacego pobiegła szybko do okna, z którego było widać ładną panoramę ogródka, rozwarła je gorączkowo i wołać zaczęła:

— Anusi! Anusi!.. a chodź tu.

— Jestem mamó! — odezwała się z malin dziewczyna, i lekka jak sarna wybiegła wybiegła z zielonych krzewów i do okna przypadła.

— Chodź tu, do mnie, mam ci coś powiedzieć. Dziewczyna zawróciła się i wbiegła do pokoju.

Śliczne rumieńce tańczyły na jej jagodach, usianych puszką dziewiczym, pierś falowała szybko, jasne włosy związane błękitną wstążką spływały na ramiona. W rękę miała trzepoczącego się motyla, który wyrwał się nagle z uwięzi i na powietrze wyfrunął.

— Co, mamciu? — zawołała, przysiadając na stołeczku u stóp Weroniki.

Matka pogładziła miękki włos jedynaczki, pochyliła się, pocałowała w czoło i uśmiechając się, w bławatne jej oczy spojrzała.

— Czy ty, Anusiu wiesz, co to znaczy kochać?

— Nie wiem, mamó!

Weronika na ucho coś szeptać córce zaczęła, lekki rumieniec oblał twarz panienki.

— A czy nie czujesz ty czasem potrzeby kochania? — szeptała matka.

— A czy ja wiem, mamó? — odpowiedziało dziewczętko. — Czasem gdy śpiewają słowiki, różę pachną, księżyc świeci, chciałabym kochać! Ale cóż na to poradzić, kiedy niema kogo?

— Jest, moje dziecko, jest! — zawołała pani Weronika. — Ignacy Targaniec był przed chwilą, i prosił o pozwolenie starania się o ciebie.

— A! — zaśmiała się Anusia — przez świętych do Pana Boga się uda!..

— Co takiego?

Dziewczyna, śmiejąc się wytłómaczyła matce znaczenie tych słów.

— Więc ty nie masz nic przeciw temu?

— Ależ ja nikomu nie zabraniam bywać, mamó!..

— Dziecko jesteś! Bywanie bywaniu nie równe. Ignacego zamiarem jest ożenić się z tobą.

— Ze mną?

— Juści nie ze mną, — odparła matka ze śmiechem. — Cóż ty na to?

— A czy ja wiem, moja mamó.

— Wyjdiesz za niego?

— Zdaje się, że nie.

Pani Weronika poruszyła się gwałtownie.

— Zastanów się, że to jest partya nie do odrzucenia. Młody, przystojny, bogaty, o, i jak bogaty!.. Sam mi mówił, że gdyby spieniężył wszystko to, co ma, zebrałoby się z pięćdziesiąt tysięcy. To państwo, moja Andziu, państwo co się zowie!

Umilkła, czekając odpowiedzi. Anusia była bardzo zamysłona. Po chwili pani Weronika spytała:

— Co ty na to, Anusiu?

— Na co, mamó?

— Na to, co ja ci mówiłam. Słyszałaś?

— Ach mateczko, nie!.. Myślałam o malinach, które wiatr tak pochylił, że jagody leżą na ziemi prawie.

Pani Weronika klasnęła w ręce.

— A! — zawołała dziewczyna, zrywając się ze stołeczka. — Niech mamcia będzie spokojna. Dziś Wacek w stajni na coś kółki pociosał, wyproszę u niego wiele mi będzie potrzeba i maliny poprzywiążę. Zaraz wszystko do porządku przyprowadzę, niech mateczka spokojną będzie!

Pocałowała matkę i pierzchnęła z pokoju.

— Nie rozbudziło się serce! — szepnęła pani Weronika, patrząc za odchodzącą dziewczyną. — Może to i dobrze! Ignacy zrobi z niej wszystko co zechce. Trzeba jej tylko objaśnić pewne szczegóły.

Zaczęła marzyć o szczęśliwej przyszłości dla swej jedynaczki, która tymczasem, nucąc ulubioną piosenkę o Stasiu i pierścionku, przywiązywała pochylone prątki krzewów malinowych.

Wieczorem pani Weronika udała się do proboszcza, chcąc jego rady zasięgnąć.

— Widzisz, mości dobrodzieju, stan małżeński jest konieczny dla ludzi, którzy nie mają zamiaru Panu Bogu się poświęcić. Ja przeciwko panu Ignacemu nie mam nic. Rządny jest, stateczny, w naszych oczach przecie dorobił się nie małej fortuny, a choć czasem, mości dobrodzieju, zhetetyka się wyraża, przemienić to pobożna żona, potrafi. Już przed ślubem wypowiadać się będzie musiał, a później, żeby złego przykładu małżonce nie dawać, nieraz z nią przed Wielkanocą do kościoła zawita, i tak pomału wciągnie się. Zasługą nawet będzie panny Anny, że go nawró-

ci. I owszem, mościa dobrodziejko, partya dobra. Jeżeli córka kocha go, dawajcie na zapowiedzi.

Pani Weronika, zatrzymana przez księdza do herbaty usiadła, Anusia tymczasem nie opuszczała ogrodu, który ubierał się w coraz nowe barwy rozpękających kwiatów, przejęty był wonią róż i jaśminów, a rozbrzmiewał wszystkimi pieśniami słowiczych koncertów.

Wieczór był śliczny, srebrny księżyc w błękitach się nurzał. Anusi uderzyło serce, ogarnął ją czar jakiś, jakieś marzenie zakotłosało jej duszę. Zamało jej było światła w ogrodzie, woni, powietrza...

Skierowała się do małej furtki, znajdującej się na końcu ogródka, za którą rozciągała się zielona łąka. Weszła na kobierzec traw, zanurzyła się w morzu zieleni. Owiał ją chłód i łąkowych ziół zapach. Koniki polne grały zgrzytliwie, w pobliżym zbożu nawoływały się przepiórki, tu i tam spod nóg zielona żabka skoczyła. Na trawach świeciły duże brylanty rosy, w dali srebrzył się stawek, oblany potokami wschodzącego coraz wyżej księżyca. Żółte wierzyby rosły nad brzegiem, za nimi przez grobelkę szła droga do wsi wiodąca. Dziewczyna zbliżyła się nad stawek, wodne kryształki odbiły jej postać białą. Oparła się o drzewo i w niebo spoglądała.

— Księżyc tak ślicznie świeci, a ja się nie kocham — wymówiła półgłosem.

Nagle obejrzała się strwożona, bo jej się zdało, że ktoś szedł czy biegł, i zatrzymał się tuż za nią.

Nie omyliła się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOBIETY W INDYACH.

Niedawno na tem miejscu streszczaliśmy zajmujący pamiętnik Lady Dufferin z czterolecia namiestniczych w Indjach rządów. Za dopełnienie owego sprawozdania można uważać kilka wiadomości o stanowisku niewiasty w tych olbrzymich posiadłościach Anglii. Zagadka: dla czego chrześcijaństwo w Indjach tak powolne czyni postępy w stosunku do rosnącej szybko cywilizacji? — wytłómaczyć się daje po części zupełnym zniszczeniem żywiołu niewieściego na ziemi indyjskiej. Wszędzie i zawsze kobieta roznosiła zapaloną przez założycieli religii i apostołów pochodnię wiary. Dość wspomnieć naszą Dąbrówkę, S-tą Klotyldę we Francji, i wiele, wiele innych. Tymczasem w Indjach wytrącono kobietę z czynnego posterunku, poniżono ją do roli sługi i niewolnicy bezduszej. Rzecz to tem dziwniejsza, iż niegdyś być musiało całkiem inaczej. Księgi święte Wedy świadczą o wyidealizowaniu posłannictwa kobiety, stawiają nam przed oczy postacie pełne poezji, szlachetności i wyższego uroku. *Maha-bharata*, wielki poemat staro-indyjski narodowy, między innemi nazywa niewiastę „czcią domu, duszą i życiem mężczyzny, źródłem wszelkiego dlań szczęścia i orzeźwienia w pustyni życia“. Gdy małżonkowie pospołu wkraczali do świątyni, kobieta, jako miska Bogu, ofiarowywała kadzidło. Później stosunki zmieniły się do niepoznania. Kiedy się to stało? — oznaczyć dziś trudno. Już przed reformą ostatniego Buddy, znać poniżenie niewiasty. Wyprzedza ono bardzo znacznie podbój muzułmański, a oczywiście wpływ Islamu jeszcze pogorszył stan rzeczy na niekorzyść płci coraz bardziej upośledzanej. Ustało jej oddziaływanie, a wraz i oświata się cofnęła, świecić raczej pomnikami i pamiątkami świetnej przeszłości, aniżeli energią czynu i siłą postępu.

Na wdowach osobliwie zacieżyło przekleństwo nowego rzeczy porządku. Darmo rząd angielski prawami usiłował je obronić od śmierci na stosie obok zwłok małżonka. Same te niewiasty przecie buntowały się przeciw ocalającym im życie

ustawom, i jeszcze przed trzydziestą laty, żona możnego radży po skonie męża sama potajemnie z własnego wymykała się pałacu, ażeby szukać śmierci w płomieniach; a choć dziś ustały owe barbarzyńskie ofiary, nie zniknął jednak przesąd ustalony od lat tysięcy, mianowicie, że kobieta, acz już nie ginie na stosie, pada wszakże ofiarą zgonu małżonka, za który staje się jakoby odpowiedzialną. Im młodszym i lepszym, im piękniejszym był mąż, tem sroższą jest pokuta wdowy — expiacya. Żywą po śmierci męża pogarda otacza; nie wolno jej nawet zasiąść do stołu z rodziną; wszyscy od niej stronią, najniższe jej powierzając usługi i roboty. Nie wolno jej zdjąć żałoby, ani też nowych zawrzeć ślubów; inaczej siebie i dzieci straci do rządu paryów i utraci wszelkie przywileje kastowe.

Ze stanowiska poszanowania należnego życiu ludzkiemu zwyczaj te byłyby już same przez się okrutne nawet wobec staruszek bliskich śmierci: a cóż mówić o położeniu dziewcząt przedwcześnie za mąż wydawanych, o dzieciach, które niekiedy od szóstego roku życia rozpoczynają przekłety zawód wdowi i do śmierci go wloką! Statystyka z r. 1881 dała liczbę 670.000 wdów poniżej lat dziewiętnastu. Dodajmy do tego obrazu upośledzenia kobiet wśród społeczności indyjskiej kilka faktów charakterystycznych. Dzieciobójstwo jest częstą w Indjach zbrodnią a przeważnie ofiarą jego padają dziewczęta. Dzikie zwierzęta porywają drobniag zostawiany im na żer. W jednym z większych miast przed dwudziestu laty hyeny pożarły do trzystu dzieci. Pokazało się, iż były to same dziewczynki. Tak smutny los je czeka, że matki same we wczesnej śmierci widzą wyzwolenie dla potomstwa żeńskiego.

Panowanie królowej — a raczej cesarzowej Wiktorji, bo taki tytuł nosi ona od lat dziesięciu w azyatyckich swych posiadłościach — niewątpliwie zaznaczy się pomyślnym zwrotem. Anglia nie może jednak działać nagle i do gwałtownej zabrać się reformy. Nadto wiele tu religijnych i kastowych uprzedzeń, aby można się na nie targnąć bezpiecznie. Rząd tedy nie występuje jawnie, zostawiając pole inicjatywy prywatnej, którą gorliwie popiera. Już w r. 1821 niejaki p. Ward z pomocą miss Cooke, pierwszej w Indjach nauczycielki ludowej, zakładał stowarzyszenie zachęty dla kształcenia kobiet. Nie wiele im obójgu się zrobić udało. Dopiero ze wstąpieniem na tron dzisiejszej władczyni postać rzeczy się odrazu zmieniła. Zakłady naukowe jeły się rozmnażać tak nagle i szybko, kobiety tak garnęły się do nauki, że już w r. 1878 uniwersytety w Madras i Kalkucie przed niemi na oścież się otwierały, przypuszczając je do składania egzaminów i otrzymywania stopni.

Objaw to tem dziwniejszy, iż ustrój rodzinny nie uległ rdzennej przemianie. Po-dawnemu dziewczyny w dziecięctwie zaślubiane nie wychodzą już za progi *Zenanów*, czyli mieszkań kobiecych w Indjach, nie dopuszczają do siebie żadnego gościa płci męskiej, a więc o profesorach mowy być nie może. Nauczycielki jedne mogą do owych domowych docierać warowni, a bez pozwolenia męża, zwykle przeciwnego stosunkom z chrześcijankami, nie wolno przyjmować u siebie cudzoziemek. Temsamem jużby liczba kształcących się Hindek powinna się znniejszyć, a jednak rośnie ona w nieskończoność i zdumiewa przyswajaniem sobie szybkim kultury Zachodu przy zachowaniu wykwinności wrodzonej szczepowi aryjskiemu.

Świeżo czasopismo *Quarterly Review* ogłosiło cały szereg korespondencji zamienionych między indyjskimi niewiastami a Angielkami władającymi ich językiem. Śliczne te listy noszą na sobie cechy dobroci, słodczy, naiwności, prześwieta w nich niemal chrześcijańska pobożność, skutkiem pewnych analogii między nauką chrześcijańską a buddyzmem, co ułatwiałoby nawrócenie całego ludu, gdyby nie kastowe upory, oporność i panowanie przeważne bramanizmu. Cnoty rodzinne występują tu w świetle rzewnej pokory. Miłość dla męża i głowy rodziny stanowi główne tétno tych dusz czułych a prostych, w których tkwi nadzwyczajne zamiłowanie rzeczy umysłowych i ciekawość

poznawania i rozszerzania sobie nowych widnokręgów. Znać, że kobieta indyjska stopniowo wzbija się ku utraconemu stanowisku, na jakim znajdowała się w przeszłości wedyjskiej. Listy w *Quarterly R.* podają nam jakby dźwięki dusz nowemi hasłami rozbudzonych, a przykłady kilku wybitniejszych istot starczą na wskazanie postępu dokonanego w pracy około wyswobodzenia świata niewieściego z dotychczasowego poniżenia.

Pandita Ramabai między innemi opowiedziała nam dzieje własne, a zarazem i postępy dzieła, któremu poświęciła swe życie, poczynając od kąpieli liturgicznej w Gangesie, temu lat pięćdziesiąt odbytej, w której jej dziad, spotkawszy poważnego pielgrzyma, zawiązał z nim bliższą znajomość, zakończoną odrazu ślubami z ośmioletnią córką nowego przyjaciela. Bezwzględnie odbył się obrzęd weselny, i nagle skojarzone stadło w dalekie odjechało strony. Szczęściem tak dorywczo zawarty związek okazał się dla obu stron pomyślnym. Mąż, Anauta Szastry, był braminem wysoce uzdolnionym, o reformatorskich dążnościach. Wbrew przesądom swego plemienia i wyrzutom otoczenia, zaprzął swe dziecko-żonę do nauki sanskrytu, coby się równało łacinie lub staro-słowiańszczyźnie w naszym społeczeństwie.

Z czasem małżonkowie doczekali się potomstwa. Ojciec zajął się wychowaniem syna, matka polecając nauczanie córki tego wszystkiego, co sama umiała. Żona wywiązała się snadź nadspodziewanie z tego zadania, skoro ówa córka wyrosła na mądrą Panditę Ramabai. Życie tej rodziny nosi czysto miejscowy koloryt. Uczony bramin żył ubogo nad brzegiem świętej rzeki, zadawałnając się owocami i ryżem. Gdy zbrakło i tego pożywienia, jał obiegać wioski i opowiadać im prawdę, której przecucie w szlachetnej posiadał duszy, otrzymując chętnie jałmużny dla siebie i swoich. Niebawem oślepl, ale nie zaniechał przeto swego apostołstwa. Gdy umarł, Ramabai była jeszcze niezamężną, choć już skończyła lat szesnaście, zaliczała się więc już do rządu starych panien, co w Indjach najwyższą bywa sromotą.

Ale snadź dzielna to była dusza, żadną przeciwnością nie złamana. Znała sanskryt, klucz wszystkich indyjskich narzeczy, a wraz biegle władała wszystkimi dyalektami kraju. Puściła się tedy dalej w ślady zmarłego ojca, wszędzie głosząc konieczność nauki, choćby elementarnej, dla niewiast, walcząc z obyczajem przedwczesnych ślubów i zagrzebywania kobiet w niedostępnych zenanach. O kilka lat wcześniej byłiby ją spółwyznawcy ukamienowali; ale teraz już władze angielskie pewną opiekę nad nią rozciągnęły, a i duch czasu stopniowo się zmieniał. Działo się to około r. 1874. W swych wędrówkach Ramabai dotarła nareszcie do Kalkuty, gdzie ją inne już czekały losy.

Złożywszy świetny egzamin w obec *panditów* czyli doktorów miejscowych, sama odtąd tytułem „pandity“ ozdobiona, Ramabai ogólnie wywołała zdumienie, a wbrew europejskim uprzedzeniom i nieufności do rozumnych i uczonych kobiet, odrazu znalazła męża w osobie zamożnego Bengalczyka imieniem Medhavi. Niestety! po kilku miesiącach go straciła, a że skutkiem nierówności kasty, sam ich związek był zbrodnią, Ramabai więc odrazu znalazła się straconą w poczet przeklętych wdów, do rządu, wzgardzonych paryów. Na domiar nieszczęścia, urodziło się jej pogrobowe dzieciątko — i to córka!

Nikt nie chciał wchodzić z nią w stosunki, i byłaby umarła z nędzy, gdyby nie opieka angielskiego towarzystwa w Kalkucie. Zapomocą swych obcych przyjaciół wnet podjęła dawny swój zawód, śpiesząc w różne strony z wykładami publicznymi, które głównie podnosiły ważność kultury u niewiast oraz niegodziwość przedwczesnych ślubów. Udało jej się w 1880 r. założyć w tym celu umyślnie stowarzyszenie. W następnym roku zanosła dzielną kobietą przed Radę Oświecenia prośbę o dopuszczenie kobiet do kursów publicznych medycyny, ażeby tym sposobem żywo pogrzebana w zenanach płeć żeńska miała sobie zapewnioną pomoc lekarską.

W kilka lat później Ramabai przebyła „Czarną wodę“, do której Indowie mają wstręt nieprzyjacielski. W Londynie przeszła na wiarę chrześcijańską, co bywa stałe owocem każdego zbliżenia się ducha indyjskiego do oświaty i kultury nowoczesnej. Oświeceni ludźmi w Indjach znajdują się dziś literalnie w położeniu Rzymian z pierwszych wieków chrześcijaństwa: nie wierzą już w swoich bogów, i zostaje im już tylko wybór pomiędzy mętym teizmem a wiarą w Chrystusa Pana. Ramabai od pewnego bramina otrzymała była zbiór zasad moralnych wszystkich ludów. Uderzona wyższością etyki chrześcijańskiej, jąła się rozczytywać w Piśmie Świętem, w dziełach Ojców Kościoła, aż wreszcie bez niczyjego nacisku ni obcego wpływu, zoczywszy przed sobą pełnię światła, śmiało ku niemu wyciągnęła ręce i duszę swą przed niem skłoniła.

Niezwykła ta kobieta liczy dziś lat trzydzieści cztery. Dla pospolitych Hindek bywa to już sędziwość, dla niej dopiero rozkwit życia i urody. Ubrana w biały szal wdowi, teraz w Anglii wygłasza odczyty i gromadzi fundusze na przytułek dla opuszczonych żon — dzieci, które zostały już wdowami. Następnie w Ameryce podobnie odbędzie wędrowki, aby po czteroletnich trudach wrócić do kraju i założyć dom nauki (*Szardu Sudan*) przeznaczony dla przedwczesnych wdów z wyższej kasty. Szanując obyczaje miejscowe, Ramabai ściśle przestrzega zasad życia kastowego i przywilejów kast, nie wywiera żadnego, nawet religijnego, nacisku na umysły swych pupilek, licząc na to, iż wyższa kultura, podobnie, jak ją sama, i je także doprowadzi do przystani prawdy.

Podobne niemal losy spotykamy w życiu innej posłanniczki postępu i bohaterki oświaty w Indjach. Anibandai Dżosy pochodziła z zamożnej i szlachetnej rodziny. Wydana za mąż w szóstym roku życia za krewnego o nowatorskich poglądach, od męża nauczyla się sanskrytu i angielszczyzny. Zapal jej do nauki nie miał granic. Gdy w r. 1878 straciła jedyne dziecko, przypisując swe nieszczęście brakowi pomocy lekarskiej, uprosiła u małżonka, iż jej pozwoli udać się do Ameryki dla kształcenia się w medycynie. Po świetnie złożonych w Filadelfii egzaminach wracała już z dyplomem doktorskim, ale straciła sama zdrowie i niebawem życie zakończyła, rzucając przecież swym przykładem posiew gotowy na grunt ojczyzny. Amindabai, przesiąknięta do szpiku kości przesadami swego plemienia, nie myślała o tem, aby doktorom otworzyć bramy zenanów: znalazła inną drogę dla zapobieżenia brakowi ratunku w chorobach niewiast i dzieci. Królowa Wiktoria myśl jej podniosła, zachęciła studentki obu narodowości do uprawiania medycyny, i tym sposobem zabezpieczyła większej połowie ludności Indostanu pomoc lekarską, na której dotąd jej zbywało.

Warto tu jeszcze wspomnieć poetkę, Torn Dult, zmarłą w dwudziestym roku życia, którą kołysały legendy indyjskie, nad jej kołębą śpiewała, aż w niej rozbudziła ducha rytmu i rymu. Pisała po-angielsku i po-francuzku naprzemiennie; dawała poznać Europie legendy ojczyzny; opiewała pogrom Francji pełnemi ognia wierszami; puściła się nawet na powieściowe szlaki, — aż duch przepalony zgasł przedwcześnie, rzuciwszy jeszcze przedtem kilka silniejszych blasków.

Jeszcze nam wspomnieć wypada o rodzinie Kornelii Sorabii. Nie są to właściwie Indowie, lecz raczej zaliczyć ich trzeba do Gwebrów, którzy, acz już bardzo dawno osiedleni, mają wszakże w Indostanie położenie jak wraz odpowiadające stanowisku Żydów na Zachodzie. Ojciec Kornelii przez studia porównawcze w dziedzinie teologii doprowadził umysł swój do chrześcijaństwa i założył rodzinę chrześcijańską. Jakby na dowód zawisłego ztąd nad nim przekleństwa, urodziło mu się z kolei sześć córek! Zamiast rozpaczać, małżonkowie się cieszyli, w przekonaniu, że kobiety jedne mogą odrodzić społeczność, że wychowanie płci żeńskiej jest pierwszą koniecznością postępu, zaczęli wszystkie córki umyślić poświęcić nauczycielskiemu zawodowi.

Gdy panny podrosły, matka ich otworzyła

wyższy zakład naukowy, w którym wszystkie sześć czynne zajęły stanowiska. Jedną zaś, Kornelię, tak się wzbijała zdolnościami nad inne, iż jej ofiarowano katedrę professorską przy wszechświecie w Guzerat. Zrazu odmówiła, w mniemaniu, iż jej powołaniem dźwigać tylko kobiety z ciemnoty. Lecz gdy niebawem ponowiono zaproszenie, przyjęła zaszczytną godność, wieńcząc po trzydziestu wiekach poniżenia skronie niewiasty indyjskiej, przedzierzgniętej w świetnego profesora. Zaiste, czasy i ludzie się zmieniają!

Nareszcie Maharani, żona maharadzy z Ruz-Beszar, nie mało się przyczynia do rdzennej obyczajów przemiany. Słabą ręką niewieścią rzuca ona pomost między dwoma żyjącymi pospół społeczeństwami. Wbrew przepisom kastowym poślubiła niższego od siebie dostojnika, a teraz otwarcie bywa na zebraniach urzędowych, towarzyszy mężowi gdziekolwiek się on udaje, i przyswaja sobie swobodę niewiast zachodnich, nie zrywając jednak wcale z wiarą i obyczajem przodków, tylko wybijając się z niewoli wielowiekowego poniżenia.

Lady Dufferin nie mało się przyczyniła do podsylenia tego procesu społecznego, z którego wyjść ma kiedyś nowy zupełnie ustrój społeczeństwa w Indjach. Jej wpływ, podobnie jak za kłętą czar nazwiska królowej, nierównie więcej zdziałały zabiegi rządu i działalność stowarzyszeń i osobistości męzkich. Za jej-to głównie staraniem zawiązało się stowarzyszenie mające na celu dostarczanie lekarskiej pomocy kobietom indyjskim. Stowarzyszenie to kształci lekarki, posługaczki chorych: zakłada osobne w szpitalach oddziały żeńskie. Wiadomo: jaką wdzięczność zdobyła sobie Lady Dufferin swą dobroczynną zabiegliwością. Gdy opuszczała Indje, ośmset dziewcząt krajowych przyniosło jej adres dziękczynny, podpisany przez cztery tysiące kobiet, z wyrazami gorącego uznania, podzięk i żalu, że ją żegnać muszą. Sztuka lekarska zawsze tworzyła jedną z ważniejszych bram, któremi wciska się oświata i postęp. Doktorzy i w dziejach i w teraźniejszości umieli sobie zdobywać wpływ znaczny na swych pacjentów. Można sobie wyobrazić: jakie posłannictwo cywilizacyjne otworzyło się przed studentkami medycyny w Anglii, oraz ich spółzawodniczkami krajowymi w Indostanie. Związek Lady Dufferin — *the national association for supplying female medical aid to the women of India* — głównie przez królową popierany, może stać się zadatkami niewidzialnej i pokojowej reakcji, która wróci kobiecie jej znaczenie i powagę przedhistoryczną, i naznaczone jej w Wedach stanowisko.

Krótki pogląd na ruch obecny, nieustający w świecie niewieścim, nie wyczerpuje, oczywiście, przedmiotu. Kto chce dokładniej poznać pionierki wyswobodzenia mającego tam całkiem inną doniosłość i hasła, aniżeli europejskie wrzaski równouprawnienia płci, niech zajrzy do ciekawej książki zatytułowanej: „*Some distinguished Indian women*, by M-rs Chapman“. Autorka długo zamieszkiwała w Indjach i dokładne podaje nam wizerunki naczelnych bohaterok dokonywającego się stopniowo przewrotu. Korrespondencje ogłoszone przez *Quarterly Review* bezimiennie dają nam poznać istoty tęskniące niewymownie za światłem, które nareszcie dociera do szczerbie przymkniętych niegdyś zenanów, i na wdzięcznym gruncie przygotowuje obfity plon rosnącej cywilizacji i postępu.

M.

Przez Alpy.

(Dalszy ciąg).

Mestre jest ostatniemi miastem, jakie zostawiamy za sobą. Tuż za stacją zaczyna się most kolejowy, na 3.600 metrów długi. Właściwie nie jesteśmy już na stałym lądzie, laguny otacza-

ją nas wkoło, omywane bystrym prądem wód bieżących.

Krajobraz pusty, cichy i bezludny; ani śladu ludzkiej istoty. Lecz oto nagle na południowoschodzie ukazuje się wspaniała, starożytna mórza królowa. W promieniach słońca zdaleka jaśnieją złote kopuły jej świątyń, błękitne morze obmywa stopy jej pałaców. Kontury drobnych wysepek rysują się coraz wyraźniej, długie szeregi pali wskazują kierunek najsilniejszych prądów i głębi.

Pociąg zatrzymuje się wreszcie — jesteśmy w Wenecji.

Pierwsza rzecz, jaka tutaj wprawia nas w zdumienie — to cisza. Królowa morza zdaje się miastem zaklętym: żadnego gwaru, turkotu, hałasu, ani śladu tej wrzawy, która nawet w nocy unosi się zazwyczaj ponad wielkimi miastami. Przed naszym zdumionym wzrokiem roztacza się Wielki Kanał, pokryty gondolami i łodziami rozmaitych kształtów, przesuwanymi się po nim w milczeniu. Jedną z nich na skinienie zbliża się do brzegu i zajmujemy w niej miejsca.

Podróż do hotelu trwa blisko pół godziny, tak powoli posuwamy się naprzód. Przewoźnik, nie czekając na pytania, wymienia nazwy główniejszych gmachów i pałaców. A wszystko to pośród tej ciszy brzmi tak uroczyście i poważnie, że przenika nas nieznane poszanowanie dla starych pamiątek i wspomnień, głośniejsze i śmielej odzywających się w duszy.

Ten spokój po męczącym gwarze, jaki panuje zwykle na stacyach kolei, wywiera wpływ dobroczynny na rozdrażnione nerwy. Gondola nasza, kołysząc się lekko, mknie bez szelestu po zielonawej fali. Jej kształt niezwykle przypomina starożytne statki; wygodne siedzenia zachęcają do spoczynku i marzeń. W milczeniu podziwiamy starożytne pałace i malownicze gmachy z obu stron kanału, poddając się z rozkoszą niezwykłym wrażeniom. Ich wspaniałość i powaga imponuje niewątpliwie, lecz zarazem rzuca cień jakiś posępny, który płoszy uśmiech z najweselejszej twarzy. Głos przewoźników głuche i ponuro brzmi pośród kolumn marmurowych, gdy, mijając boczne kanały, nawołują się zdaleka. Pomimo całej wspaniałości odczuwasz, że to grobowiec minionej bezpowrotnie chwały.

W hotelu pod zielonym lasem znajdujemy wygodne i tanie mieszkanie, z tarasu piękny widok na zatokę San Marco, z okna na wązki kanał ze starożytnymi domami i ożywioną Mercerią, czyli plac handlowy, od północnej strony leżący.

Zanim wypoczęliśmy i pokrzepiliśmy się trochę po trudach przebytej drogi, zmrok zapadł i można było udać się od razu na zwykły spacer wieczorny. Naturalnie, że pierwszym celem wycieczki plac S-go Marka i Piazzetta, znajdujące się w pobliżu.

Przez ciemne, wąskie uliczki wypływamy na miejsce oświetlone tysiącem świateł, które wzrok nasz w pierwszej chwili olśniewają. Co za kontrast! Trafiliśmy szczęśliwie: to Niedziela, co przyczynia się nie mało do urozmaicenia tego fantastycznego obrazu. Strojne, śmiejące się tłumy, jak ruchliwe fale płyną we wszystkich kierunkach, mieszając się i rozlewając po obszernym, jasno oświetlonym placu i pod wysokimi arkadami. Obcego przybysza zdumiewa panująca tu swoboda, która pozwala w jedną całość łączyć się najróżnorodniejszym żywiołom, zaciera różnice stanów, wychowania, i wynikając z temperamentu, cechującego ludy południowe, wyróżnia je na pierwszy rzut oka od poważnych mieszkańców północy.

Pary i grupy, trzymając się za ręce, krążą po placu, jak po obszernym salonie, gwar ich głośniejszy rozmowy zlewa się w chaos piskliwy, jaskrawe barwy, jak w kalejdoskopie, układają się co chwila w inne desenie i wzory. A ponad tym blaskiem, rozplywającym się w mgłę w półprzejrzystej, ponad tym ruchem i gwarem, ciemne sklepienie nieba usiane gwiazdami, głębokie, spokojne, nieskończone....

Długo staliśmy na uboczu, w milczeniu podziwiając ten czarodziejski widok. Posiada on jakąś magnetyczną siłę, która wzrok przykuwa i upaja rozmarzeniem. I niewiedomo w końcu,

czem się zachwycić najbardziej: żywym obrazem, pełnym nieopisanego uroku, czy tłem wspaniałym, które się pod nim rozciąga. Oto pałac dożów, poważny i imponujący, bazylika S-go Marka, jaśniejąca tysiącem świateł, starożytna biblioteka. Oko nie wie, gdzie spocząć, na czym zatrzymać się pierwszej, oczarowane i olśnione.

Do północy pozostaliśmy na placu, wmieszani w tłum ożywiony. Mimo dziennego skwaru noc tchnęła świeżością i przyjemnym chłodem. Po powrocie do hotelu zastaliśmy okna otwarte i zasłonięte siatkami od złośliwych moskitów, które potrafiły jednakże ominąć tę napozór nieprzebytą przeszkodę.

Dzień następny przeznaczony na zwiedzenie kościoła S-go Marka i pałacu Dożów.

Kościół S-go Marka, narodowa świętość miasta, otoczona czcią najwyższą, jest bezwątpienia najwspanialszym pomnikiem byłej potęgi Wenecji. Świadczy o tem nie tylko bogactwo starej świątyni, ale charakter jej ozdób i stylu: wszystko, co było najpiękniejszym i najcenniejszym na świecie, spotykamy tu naśladowane lub wprost zabrane sąsiadom.

Sama powierzchowność kościoła sprawia wrażenie niezwykle i oryginalne: marmurowe ściany i bizantyjskie kopuły czynią go podobnym do tureckiego meczetu. Przyczyniają się do tego wschodnie ozdoby, sztukaterie i płaskorzeźby, okrywające mury.

Mijamy przyozdobiony bogato rzezbami i malowidłami przedsionek i znajdujemy się w środku świątyni.

Tutaj już sama mozaikowa posadzka, z różnobarwnych płyt marmurowych w symboliczne wzory ułożona, słuszny podziw budzi w przybytku. Na nieszczęście w wielu miejscach dostrzedz w niej można znaczne uszkodzenia, których naprawa przedstawia wiele trudności, z powodu braku rzadkich gatunków marmuru, wchodzących do tej mozaiki. Pomimo to w ostatnich czasach zajęto się poważnie tą sprawą i dokonano tu i owdzie kosztownej rzeczywiście reparacji.

Niemniejszy podziw budzi wielka ilość kolumn ozdobnych i przepyszne marmurowe kapliczki. Nie wspominam już o drogich kamieniach i złocie, którem obrazy, posągi, filary zdają się być przeładowane; mimo to całość nie raz przesadą, a nawet sprawia szlachetne i harmonijne wrażenie.

Naprawo od kościoła wznosi się pałac dożów, starożytna twierdza Wenecji. Od Piazzetty wchodzi się tutaj przez tak zwane Porta della Carta. W dzisiejszej swojej postaci pałac dożów nie ma więcej nad lat 300, ale front jego pochodzi z najświetniejszej epoki miasta, gdyż wzniesionym został za rządów sławnego doży Dandolo, panującego w XII stuleciu, w czasach czwartej krucjaty. Nigdzie też nie znajdujemy tak doskonałego i czystego wzoru gotyckiego stylu, jak w tej części starego gmachu. Wysokie, sklepione sale, krużganki, fasady, wszystko tu nosi na sobie wybitną cechę gotyką, tak właściwą miastu, wynurzonemu z fal morskich. I rzeczywiście, te wysmukłe, ostre, ku niebu strzelające kształty, fantastyczne kontury, łuki i arkady zdają się być umyślnie stworzonymi do tego otoczenia i gruntu.

Pałac dożów, jak i wszystkie z owej epoki pochodzące, jedną tylko posiada fasadę; dwa gotyckie, na kolumnach oparte przedsionki, podpierają piętrowe sale z nielicznymi, wązkimi oknami. Marmurowe rzeźbione płyty okrywają zewnętrzne ściany; ozdoby i kształt dachu przypominają styl wschodni, lecz wnętrze, odnawiane w roku 1490, już zaliczyć można stanowczo do epoki renesansu. Tak zwane „Wschody Olbrzymów“ prowadzą tu na pierwsze piętro, „Wschody Złote“ dostępne były tylko dla tych spośród arystokracji rodowej, których imiona za oddane krajowi usługi wpisywano do Złotej Księgi.

Z pałacu dożów udajemy się prosto do osławionych więzień podziemnych Wenecji. Droga prowadzi przez „Most Westchnień“, który bezpośrednio łączy wspaniały pałac ze straszliwymi

lochami, przeznaczonymi niegdyś dla zbrodniarzy i przestępców politycznych. Tędy prowadzono uwięzionych przed sąd „Trzech Inkwizytorów“. Skazany na śmierć nie powracał już do swojej celi, lecz oczekiwał spełnienia wyroku w podziemiach pałacowych.

Wązkie, zupełnie pozbawione światła galerie wiodą do lochów, leżących na poziomie kanału. Ciała więźnienna wystarcza zaledwie dla pomieszczenia jednego człowieka. Boczny korytarz prowadzi do miejsca, na którym spełniano wyrok; poczem zwłoki zabierała oczekująca za furtką gondola.

Ileż krwi niewinnej przelano w tem miejscu, ileż ofiar nienawści i politycznych intryg zginęło tutaj bez śladu i wieści!

Z dreszczem grozy i trwogi opuszczaliśmy ponure, duszne i łzami ofiar przesiąknięte mury więzienne; światło słoneczne po ich wilgotnej, chłodnej atmosferze wydało nam się stokroć miśszem i jaśniejszem: rozpraszało mury i widziadła, do dnia dzisiejszego tam w głębi żyjące.

Niewielki plac przed pałacem dożów nosi nazwę Piazzetty; tu wznoszą się dwie kolumny, monolity, ze wschodniego granitu, na jednym znajduje się herb miasta: złoty lew S-go Marka, na drugim posąg S-go patrona.

Obejrzawszy następnie wieżę z dwoma murzynami i sławnym zegarem oraz najbliższe gmachy i budowle, przed dwunastą weszliśmy na wysoką wieżę S-go Marka, by ztamtąd patrzeć, jak na dany sygnał, którym jest wystrzał armatni, dzwon wielki zaczyna wydzwaniać południe.

Z wysokości blisko 100 metrów oko z zachwytem spogląda na pyszne świątynie, kopuły, pałace, w głębi na tle wód błyszczących rozrzucone malowniczo. Gondole, statki parowe i żaglowe łodzie przesuwają się lekko, jak dziecinne zabawki po zwierciadlanej powierzchni kanałów, a w dali szarzeją Alpy i wystające na morze kończyny Istrii i Friulu.

Wszystko to razem czaruje, zdumiewa, po chwili przecież wzrok powraca znowu podziwiać piękność u stóp leżącego miasta. Z tego punktu dopiero, z wieży S-go Marka, objąć można dokładnie ten wspaniały obraz i zrozumieć, jak potężny urok wywiera na wrażliwe, artystyczne natury Królowa Adriatyku.

Popołudniu udaliśmy się na Lido, jedną z siedmiu tam naturalnych, wielkim łukiem ciągnących się od ujścia Brenty do Piawy. Stanowią one jakgdyby granicę pomiędzy otwartym morzem i lagunami wybrzeża. W lecie te wysepki, o pół godziny drogi odległe tylko od miasta, są ulubionym miejscem przechadzki osób przyjeżdżających do morskich kąpeli. Mały parowiec, odchodzący co dwadzieścia minut, ułatwia komunikację, przez most kolej konna dochodzi do samych kąpeli.

Marzenie nasze na koniec spełnione: mamy przed sobą otwarte morze pod czystym, ciemnoniebieskim sklepieniem południowego nieba. Z wysokości grobli, na której zbudowano zakład kąpielowy, rozciąga się widok na przestwór wód nieskończony, wiecznie ruchomy i łamiący swe błękitno-zielonawe fale o skaliste wybrzeże tamy.

Rzecz dziwna, jakie wrażenie wywiera widok morza na człowieka! Można na nie patrzeć i patrzeć bez końca, nie czując nudy ani utrudzenia, nie mając siły oderwać wzroku od tego tak na pozór jednostajnego obrazu. Co do mnie, jestem upojony: biały żagiel w oddali, śpiew, płynącego na połów rybaka, krzyk mewy, powiew wiatru, szum morza, wszystko słodko kołysze moje wyobraźnię i przenosi ducha w krainę czarodziejskich snów na jawie.

Jeszcze oryginalniejszym jest wrażenie, jakiego doznajemy, poraz pierwszy zanurzając się w słonym, ruchliwym żywiole. Z początku nadbiegające z szumem zębate fale, budzą mimowolną obawę, lecz ustępują one wkrótce wobec przekonania o skuteczności środków zabezpieczających od utonięcia lub porwania. Wówczas z rozkoszą rzucasz się na garbaty bałwan, który unosi cię w górę, a następnie zanurza w głębi; czujesz pod stopą piasek, pełen muszli, krabów i różnorodnych morskich stworzeń, które podró-

znicy zbierają tak chciwie i gromadzą na pamiątkę doznanych przygód i wrażeń.

Trzeciego dnia zwiedziliśmy kościół Panny Maryi della Salute, którego główną ozdobą są wspaniałe obrazy. Kościół, z białego marmuru, posiada także wiele pięknych rzeźb i posągów.

Marmurowe jego wschody obmywają ciemne fale Wielkiego Kanału, głównej ulicy miasta, w wodach którego od wieków przegładają się poważne gmachy, pomniki i świątynie. Większa część najcenniejszych zabytków architektury mocno uszkodzona zębem czasu, mimo to jednak budzi zawsze podziw i poszanowanie. Wspomnieć tu należy o sławnym moście Rialto, 70 stóp długim, 43 szerokim, który śmiałym łukiem przerzucony przez Wielki Kanał, łączy przeciwległe brzozi. Most ten zbudowany z marmuru, zarówno kształtem jak wykonaniem szczegółów, zwraca uwagę znawców i turystów, którzy zaliczają go słusznie do najcenniejszych osobliwości Wenecji.

Przez wązkie, drugorzędny kanał przypływamy do starożytnej, w pierwotnym gotyckim stylu zbudowanej świątyni Maryi dei Frari, słynącej z rzeźb i pomników, a nadewszystko obrazu Tytiana: „Madonna rodziny Pesaro“. Arcydzieło to wielkiego mistrza odznacza się nie tylko niezrównanym cieniowaniem i pięknościami kolorystyki, lecz i poprawnym rysunkiem, ugrupowaniem postaci i charakterystyką twarzy.

Teraz zapuszczamy się w gęstą siatkę licznych kanałów, coraz węższych, coraz bardziej oddalonych od głównej dzielnicy miasta, gromadzącej w sobie wszystkie ślady minionej wielkości i skarby dzisiejszej Wenecji. Tą drogą z południowo-zachodniej strony przepływamy na północno-wschodnią.

Jakaż tu cisza! Ciężkie, wysokie gmachy zdają się występować z wody, wydzwignione olbrzymią tajemniczą siłą; bramy ich wiodą prosto do kanału, tylne wyjścia łączą bezpośrednio oddzielne gmachy i ulice. Lekka gondola rzadko kiedy pojawia się na tych wodach, ale co chwila spotkać można ciężko obciążone statki i barki, trudniące się przewożeniem i dostawą towarów.

Wśród tego labiryntu uliczek, zaułków zaniedbanie i upadek miasta stają się coraz widoczniejszemi. Na każdym kroku widać opuszczone budynki, wspaniałe niegdyś bramy gwoździemi zabite, z wielu okien na wytkniętym kijku lub poczerńniętym ramie zwieszają się różnobarwne sztuki garderoby, które suszą w ten sposób na wietrze i słońcu. Wysmukłe kolumny brudne, odrapane, stoją jak żebracy, którzy pamiętają dawne, świetniejsze czasy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga o spodziewanych zmianach w ustawie wekslowej, która będzie wkrótce rozpatrywana na radzie państwa.

— Dzienniki moskiewskie zaprzeczają wieści podanej przez pisma petersburskie, jakoby ogólna ustawa uniwersytecka miała być zastosowaną i do uniwersytetu dorpuckiego.

— Rada państwa przystąpi wkrótce do dalszych obrad nad syberyjską koleją żelazną. Uwzględnioną ma być głównie linia od wchodnich brzegów Bajkału do Streteńska.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności odbyło pod przewodnictwem swego prezesa, ks. Tadeusza Lubomirskiego naradę, w skutek której uchwalono ze względu na zwiększającą się drożyznę urządzenie w dzielnicach miasta, zamieszkiwanych przez ludność ubogą, wzniesienie kuchni, wydających obiady bezpłatne. P. Ludwik Norblin, właściciel fabryki wyrobów platerowanych, złożył na rzecz tych obiadów rs. 30.

— Na posiedzeniu sędziów konkursowych w sprawie posągu Moniuszki oświadczył Mierz-

wiński, że w razie, gdyby summa 2.000 rs. ofiarowana przez niego na ten cel okazała się niedostateczną, da koncert na cel jej powiększenia.

— Muzeum Sztuk Pięknych, obejmujące galerię obrazów, mieści się obecnie wraz z całym inwentarzem muzealnym w składach, należących tymczasowo przy lokalu klasy rysunkowej, przy Placu Teatralnym pod Nr. 11. Muzeum posiada 720 utworów, w wartości 47.169 rs. i zostaje pod honorową dyrekcją szambelana Lachnickiego. Kustoszem jest artysta Malatyński; na utrzymanie muzeum wyznaczone jest rocznie 1.530 rs. a to: 600 rs. na pensję dla kustosa, reszta na potrzeby muzeum. Wzniesienie oddzielnego gmachu dla muzeum i klasy rysunkowej zostało postanowione, miejsce na placu należącym do wydziału naukowego przy ul. Królewskiej Nr. 1.067 wyznaczone, przecież trudność w wynalezieniu źródła na koszt budowy rzecz wstrzymuje.

— Sąd konkursu *Lutni* na balladę, nadającą się do podłożenia pod muzykę, nagrody pierwszej nie przyznał nikomu; drugą otrzymał p. Artur Oppman, posługujący się pseudonimem *Or-Ot*.

— Artysta Syrewicz wykończył pomnik ścienne, przeznaczony dla uczczenia pamięci ks. kanonika Jakubowskiego, który zostanie pomieszczony w kościele S-go Krzyża na jednej z jego arkad.

— Bracia Reszke, Jan i Edward złożyli 1.750 rs. na powiększenie i odnowienie kościoła w Borownie. Restauracja świątyni zajmuje się miejscowy pleban, ks. Walutycz.

— Kolonie letnie, prawdziwie miłośniarska instytucja, której twórcą jest dobrze zasłużony ogółowi Dr. Gustaw Fritsche, dały w roku bieżącym zaczerpnąć świeżego powietrza bardzo znaczny jak na nasze stosunki liczbie dzieci ubogich, bo przeszło 1.000 dziewcząt i chłopców korzystało z dobrodziejstwa odżywienia się i wzmocnienia przez pobyt na koloniach letnich; że przecież instytucja ta nie posiada żadnego stałego funduszu i opiera się całkowicie na darach składkowych osób dobrej woli, Dr. Fritsche, myśląc już wcześniej o pocziwem dziele swoim, przypozwał tu do współudziału świeżo do kraju przybyłą p. Janinę Rogozińską (Hajotą), która wypowie na korzyść kolonii odczyt, mający za treść wyprawę prelegentki w Góry Kamekuńskie, Odczyt wygłoszony już przez nią w Madrycie w języku hiszpańskim usłyszy w tych dniach publiczność nasza. Prelegentka jest obdarzona orderem przez królową Krystynę hiszpańską.

— Sprawozdanie doroczne Towarzystwa Osad Rolnych przedstawia stan pomyślny; ogół majątku jego w kapitałach liczy 76.400 rs. a to: kapitałów wieczystych 46.400 rs., przeznaczonych na przytułek poprawczy dla dziewcząt 1.016 rs., na domek w Warszawie 1.016, kapitału rezerwowego 26.624 rs. Obok tego osada Studzieniec przedstawia w gruntach swoich i lesie, oraz w budowach i ruchomościach wartość 302.672 rs. Z początkiem ubiegłego roku znajdowało się w osadzie 150 wychowalców, w ciągu zaś jego przyjęto 63 skazanych wyrokiem sądu, zwolniono 41. — Skład komitetu Towarzystwa nie uległ żadnej zmianie. Do zarządu wybrano na przewodniczącą Dr. W. Miklaszewskiego, na pomocnika Kaź. Rutkowskiego, obowiązki dyrektora osady w Studzieniu pełnił p. Ed. Zieńkowski, kapelanem był ks. Marceł Ciemniewski.

— Towarzystwo Ogrodnicze zapowiada na koniec bieżącego miesiąca wystawę roślin kwitnących, w szczególności zaś „Chryzantów“, wystawa mieścić się będzie w Resursie Kupieckiej.

— We Lwowie zapowiedzianą została wysta

wa krajowa na rok 1894; wybrany komitet pięciu ma się zająć w najbliższym czasie zbadaniem warunków i ułożeniem odpowiednich odczw w zakresie prac przygotowawczych. Ostatnia wystawa odbyła się we Lwowie w 1877 r.

— W Krasiczynie, w starożytnym wspaniałym zamku książąt Sapiehów, odbyło się uroczyste poświęcenie biblioteki. Założona przez ks. Adama Sapiehę liczy 10.000 dzieł w 15.000 tomów, archiwum mieści 40.000 listów, odnoszących się przeważnie do interesów rodziny książęcej.

— Stuletnia rocznica urodzin hr. Alexandra Fredry, znakomitego komedyo-pisarza, którego sztuki utrzymują się po dziś dzień na repertuarach teatralnych, przypada 20 Czerwca 1893 r. Wydział lwowskiego Koła Literacko-Artystycznego chcąc uczcić jego pamięć i zasługi w literaturze uchwalił uroczyste obchodzenie dnia tej rocznicy i wzniesienie pomnika we Lwowie. Kommissją wybraną w tym celu przez Koło, składają p. p. Styka, Wilczyński, hr. Skarbek i Wolański.

— Pod tytułem: *Lud Czeski* zaczęło wychodzić w Pradze czasopismo dwumiesięczne pod redakcją D-ra Lubora Niederlego i D-ra Czenka Zbirta, współpracownictwo przyrzekli wszyscy etnografowie, archeologowie czescy, oraz kilku pisarzy naszych. Pismo zdobną ilustracye, cena zeszytu 80 krajcarów a przedpłata roczna 4 zł. reń., zeszyt pierwszy przedstawia treść bardzo zajmującą: „Przesady i obyczaje ludu morawskiego w gospodarstwie“ przez Bartosza, „Wodnik w podaniach ludu czeskiego“ Kosztiala. „Przegląd łżyckich baśni“, Czernego i kilkanaście tem podobnych rzeczy.

— Wystawę w Pradze zwiedziło już obecnie przeszło 2.000.020 osób. Według najnowszego obliczenia miasto liczy 301.625 mieszkańców, nie dodając garnizonu wojska. Z tych zaliczyło się do narodowości czeskiej 259.756, do narodowości niemieckiej 37.527 osób. W r. 1880 było w Pra-

dze mieszkańców 246.327, z tych 38.421 Niemców zatem ludność czeska wzrosła przez lat dziesięć o 51.850 osób, a niemiecka zmniejszyła się o 894 indywidua.

MYŚLI

— Rozumna oszczędność jest matką używania, jest jeszcze i obowiązkiem, tak względem siebie jak i innych. Znakomita kobieta XVIII-go wieku, M-me Geoffrin, zgromadzając w gościnnym domu swoim liczne zastępy ludzi rozumnych i wytwarzając w ten sposób jedno z ówczesnych ognisk oświaty, przyjęła sobie za godło zdanie: „Oszczędność jest matką hojności.“

Anonym.

— Oszczędność jest przymiotem biernym, wyższą też zaletą jest praca tak rozumnie powiększająca zasoby nasze nad potrzebę konieczną, aby coś mogło być zostawione dla przyszłości.

Ig. Gozdawa.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 2-gi tomu II powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana.

Zeszyt XXVII-ty wyszedł z druku i zawiera między innemi: **Tętniak, tętno, tlen, tłuszcz, toeplitz, torbiel, torticolis, tran, trawienie, trądzik, tryb życia, tyfus, tytuń. Ubranie głowy, ucho, uderzenie krwi i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Wychowanie. — W Jesieni (wiersz) przez Juliusza Sturm'a. — Kobieta z XVIII-go stulecia, przez M. I. (dokończenie). — Przeklęty ród, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Kobiety w Indyach. — Przez Alpy (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi tomu II powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 29 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Октября 1891 г.

Przegląd mód.

Różnolitość magazynu pana Herzego. — Modele sukien, jak się urządza paski do podnoszenia. — Okrycia — Staniki. — Zaboty.

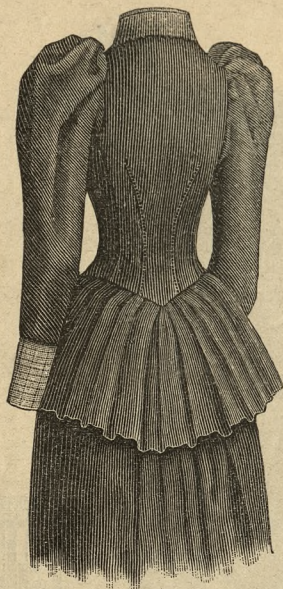
Czego też niema w tym zaczerpniętym magazynie pana Herzego! Proszę spojrzeć na gwiazdki na stronie II dzisiejszego dodatku a o wszystkim dowiemy się szczegółowo. Słusznie też wzięto za emblemat do ogłoszenia gwiazdę, gdyż zakład tak poważny, budzący takie zaufanie w publiczności tak pod względem towaru, jak wykonania otaczać zawsze powinna jakąś aureolą tajemniczości, która nie pozwala się tak znanej w kraju całym firmie rozdrabniać na drobne szczegółiki bez wartości. Jest to zdanie nie moje, ale wyrażone z powodu owego oryginalnego ogłoszenia przez bardzo inteligentną osobę.



Nr 2. Suknia z sukna i materiału wełnianego w pasy (do ryc. Nr 4).



Nr 1. Tylna część sukni Nr 3.



Nr 4. Tylna część sukni Nr 2.



Nr 3. Suknia z materiału wełnianego i aksamitu (do ryc. Nr 1). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11.

Ale wracajmy do rzeczy — że nasz Worth ma najpiękniejsze modele, to nie ulega już kwestyi, a janie chcąc zajmować zbyt wiele miejsca strojami, opiszę tylko dwie suknie. Pierwsza była popielato-stalowa, aksamitna w paski, na to szedł kaftan do figury z kaszmiru popielatego, którego brzegi były tylko cięte zupełnie bez obróbków, z tyłu dwie chustki trójkątne zastępowały tylne poły z przodu dwa renwersy na aksamitnym plastronie, pasek aksamitny przytrzymywał przód. Rękawy bufiaste od góry kaszmirowe; dalej aksamitne. Suknia cała na jedwabnej podszewce, co dziś jest ostatnim wyrazem mody, a co to za wygoda, to tylko ten uwierzy, kto spróbuje. Do takich właśnie sukien są sprowadzane przez pana Herzego paski do podnoszenia, które składają się z dwóch dużych haczyków umieszczonych na krótkiej stalce przyszytych

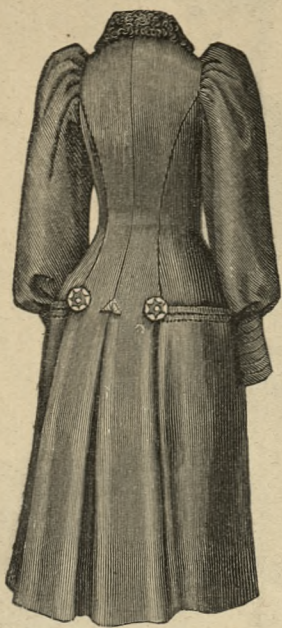


Nr 5. Napierśnik dopełniający kaftanik.

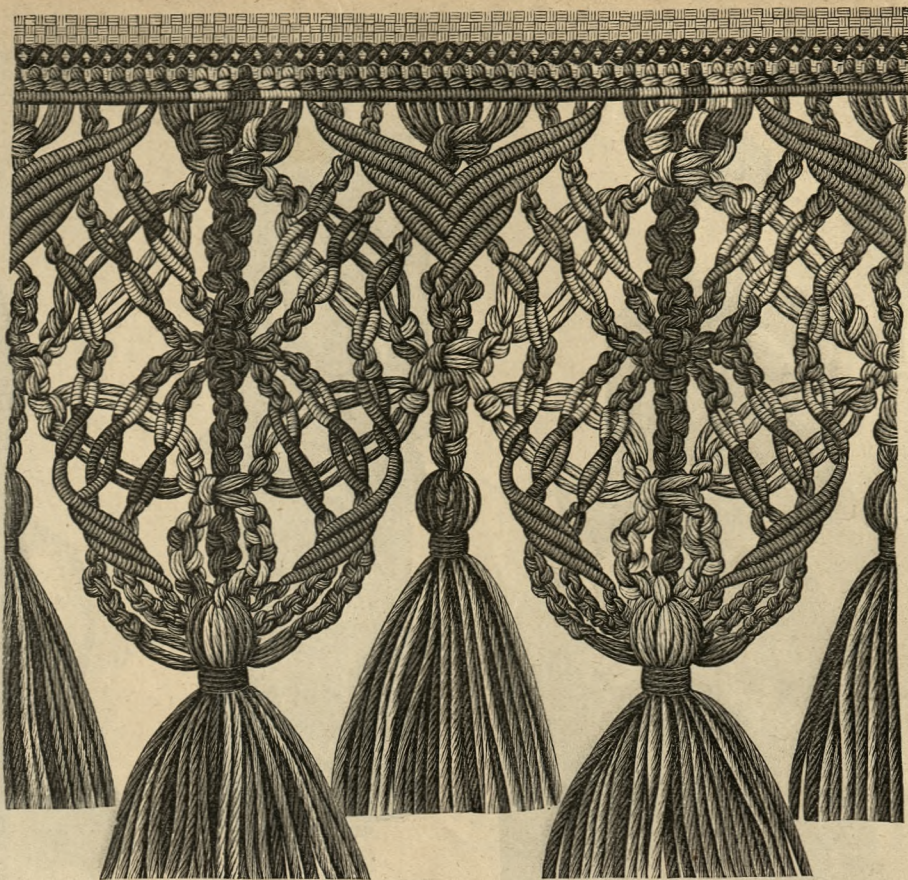


Nr 6. Bluzka dla młodej osoby.

w górze pod samym stanikiem do spudnicy, które za poruszeniem sukni zahaczają się z łatwością. Z pod takich sukien widnieje elegancka halka kolorowa, sięgająca tylko po za kostki. Już też niema nicmniej estetycznego, jak suknia podniesiona na fałszywej spódnicy, na której rzeczywiście widać fałszyk, która nie podniesiona razem z wierzchnią, lub nawet podniesiona, zawsze brzydko wygląda. Wiele też pań prawdziwych eleganek z grubszy materjału robiąc suknię, robią tylko wierzch powłóczysty, a halkę zastępuje krótka spódniczka jedwabna z falbanką, koniecznie krótka, bo inaczej to zawsze niezręcznie. Drugi model był także śliczny, były to paski czarne wrabiane na niebieskiej wełnie nasywane drobnymi czarnymi perelkami,



Nr 7. Tylna część płaszczyka Nr 14.



Nr 8. Frendzla wiązana do ryc Nr 9 (2/3 oryginalnej szerokości).



Nr 10. Przednia część płaszczyka Nr 12.



Nr 9. Lambrekin do ozdoby portyer, firanek i t. p. (Ścieg płaski, krzyżowy i robota wiązana).

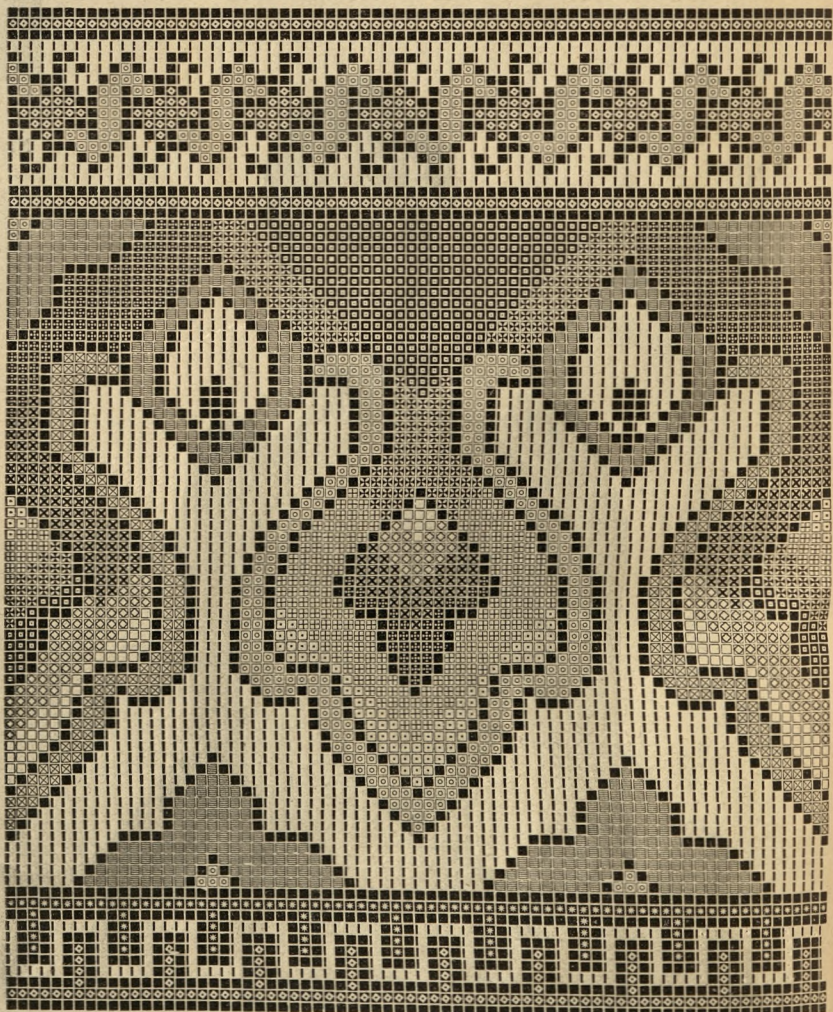
z przodu dużo dżetu spadało nakształt plastrona na piersi, plecy i tren czarne aksamitne.

Z okryć modnych widzieliśmy gruby, czarny do kolan, z przodu formowało długą talmę z rękawami zwykłymi pod spodem, w tyle paletot do figury cały naszyty pasmanterją na plecach i ramionach; brzegi zaś ozdobione paskiem futerka z farbowanych kóz, które są dziś nowością. Nie tylko białe angorskie ale i zwyczajne kozy farbują w Paryżu na 3 kolory: beż, popielaty i brązowy. Pan Herze przywiózł tę nowość z Paryża w całych skórkach, aby je używać do okryć wyrabianych w swym magazynie; na co kraje się skórki w waziutkie paski i oszywa brzegiem. Co też za śliczne nowego rodzaju zaboty nam pokazywano, w różnych przeróżnych odmianach, których wzory my podajemy ciągle w piśmie naszym. Nowością w tym kierunku są żółte, różowe i niebieskie muśliny jedwabne układane w falbany. Nowy rodzaj ślicznego staniczka, pod elegancki „smoking,” (kaftan wcięty, z przodu otwarty), był z niebieskiej „faille,” mieszany z białym jedwabnym muślinem, rauwersa, żabot, plisowanie, wszystko tam było a tworzyło całość nieopisanie piękną.

Czepeczki bretońskie, złożone z haftu złotego i kawałka gęstej koronki, bardzo modne i ładne widziałam tam także, jak wszystko, co tchnie

nowością paryzką znaleźć tam można. O innych drobiazgach, niewchodzących w specjalność tego wielkiego na sposób paryzki urządzonego magazynu, dowiedzą się czytelniczki z owych gwiazdek. Ja tu jeszcze dodam jako odpowiedź na liczne zapytania, iż w magazynie płaci się za sam fason modelowo wykonanej sukni rs. 15, dodatki zaś oddzielnie, stosownie do dyspozycji obstarunka.

L. C.



Nr 11. Deseń do ryc. Nr 9.

■ Czarny, □ ciemno-zielony, ▣ jasno-zielony, ▤ oliwkowy, * 1-szy ciemny, * 2-gi jaśniejszy, ▥ 3-ci jasny niebieski, ▦ 4-ty ciemny niebieski, ▧ 1-szy ciemny, ▨ 2-gi jaśniejszy, ▩ 3-ci i ▪ 4-ty najjaśniejszy terracota, ▫ brązowy ciemny, ▬ brązowy jasny, 1 tło.

Dywanik (haft szwedzki).

Rycina Nr 26, 27 i 29 w Bl. Nr 41. (Deseń odwr. str. tabl. Nr 21).

Dywanik wykonany na ciemno-granatowej białym haftem szwedzkim rozpolowioną hamburską włóczką w kolorach: niebieskim, terracota, oliwkowym i brązowym w kilku cieniach. Zaopatrzony podszewką z tkaniny lnianej. Nr 21 odwr. str. tabl. podaje deseń, ryc. zaś 26 i 27 szlaki oryginalnej szerokości. Przenieść deseń z uwzględnieniem ryc. 29 na baję i wykonać większe liście stokroci ścięciem płaskim włóczką niebieską, pomiędzy temi mniejsze listki włóczką koloru „terracota” wykonać takowe na krzyż i umocować ścięciem krzyżowym, otoczyć ścięciem gałązkowym włóczką niebieską a środek ścięciem dziergany włóczką oliwkową. Dzwoneczki włóczką koloru ciemnego terracota. Gałązki, wasy i listki, częścią włóczką brązową, częścią oliwkową. Dolne zaś figury narożne oliwkową włóczką i ciemną terracota, ścięciem gałązkowym, płaskim i rybiej łuszczyki. Górne figury pomiędzy dzwoneczkami, włóczką niebieską ścięciem gałązkowym otaczać, a wypełniać ścięciem supełkowym. Co do szlaków ryc. Nr 26 i 27 brzegi przejąć każde 3 nitki tkaniny nawewnątrz kolorem brązowym, nazewnątrz kolorem oliwkowym i mocować ścięciem obrzucanym tegoż koloru włóczką, otoczyć ścięciem gałązkowym włóczką brązową. Rząd zębów galonu zewnętrznego tymże sposobem włóczką oliwkową i ciemną terracota, muszki zaś włóczką niebieską. Rząd zębów galonu wewnętrznego ścięciem gałązkowym, figury supełkowym włóczką jasno-terracota.

Suknia z materiału wełnianego w pasy.

Rycina Nr 2 i 4.

Suknia z sukna koloru granatowego gładkiego i w pasy tegoż koloru. Spódnica z podszewki otoczona falbanką 7 centim. szerok. Po bokach kluny z materiału w pasy 75 cent. wysok. a 24 centim. szerok. Stanik krótki otoczony falbanką 23 centim. wysok. a 336 cent. obwodu, ułożoną w kontrafaldy na 3 centim. szer. Plecy i boczki z sukna. Przednie zaś części z materiału w pasy, przybrany listwami 5 c. szer. z sukna. Kołnierz stojący i rękawy z sukna, mankiety z materiału w pasy.

Napierśnik dopełniający kaftanik.

Rycina Nr 5.

Stanik w rodzaju kaftanika, z przodu krótki, po bokach i z tyłu z długą połą z czarnego aksamitu. Napierśnik z „surah” koloru różowego. Skrajając część 58 cent. dług. a 124 centim. szer. wykonać pliski na maszynie. Karczek z pasmanterii jedwabnej i metalowych nici i takież sam stojący kołnierz. Część dolna wszyta w paseczek 55 cent. dług. i przewleczone elastyką 35 cent. dług.

Bluzka dla młodej osoby.

Rycina Nr 6.

Bluzka z „surah” koloru łososiowego w drobne zakładki. Karczek przezroczysty z białej koronki i takież kołnierz. Na przednie części służą 2 części „surah” każda 52 cent. szer. Dolna część przewleczone elastyką. Rękawy 48 cent. szer. skrajane z jednej części i przybrane koronką 17 cent. wysokości.

Lambrekin do portier, firanek i t. p. Ścieg płaski, krzyżowy i robota wiązana.

Rycina Nr 8, 9 i 11.

Lambrekin wykonany na tkaninie „Jawa” koloru odpowiedniego do obicia pokoju, hamburską włóczką, z której również wykonana frendzla wiązana. Wzór przedstawiony wykonany na tkaninie koloru ponsowego 50 centim. szerok. Deseń przedstawia ryc. Nr 11, wykonany ścięciem płaskim i krzyżowym na 6 cent. od górnego brzegu, jak wskazuje ryc. Nr. 9, gdzie również widocznym jest sposób wykonania ścięgu płaskiego. Frendzlę przedstawia ryc. Nr 8 w $\frac{2}{3}$ oryginalnej szerok.

Płaszczyk dla panienki od 8—10 lat.

Rycina Nr 14 i 7. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 48—56)

Płaszczyk z sukna koloru popielatego, zaopatrzony watą i podszewką z atłasu ponsowego.

Kołnierz z czarnego baranka. Po dopełnieniu złożonej fig. i przydłużeniu skróconych w kierunku strzałki skrajając podług fig. 48 — 51, 54 i 55 po dwie części. Fig. 52 i 53 po jednej części; fig. 56 dwie części złożone wzdłuż środka i uwzględniając kontur spodniej części rękawa. Plecy, boczki i przednie części zaopatrzyć watą i podszewką. W plecach umocować każdy $\frac{1}{2}$ na kropce, połączyć części podług cyfr. Figurę 52 wyłożyć wzdłuż linii zgięcia. Przednie części zeszyć od 47 do dwukropka a boczne wzdłuż linii. Przyszyć kieszeń od 43 do dwukropka. Napierśnik przyszyć do przednich części od 52 do $\frac{1}{2}$, kołnierz wszyć od 50 do 54. Płaszczyk zaopatrzyć w guziki wzdłuż linii a w prawej przedniej części wykonać dziurki. Fig. 54 zaopatrzyć podkładem i sukmem. Fig. 55 podkładem i barankami. Przyszyć najprzód wyłożenie a potem kołnierz wykładany podług cyfr. Wyłożyć takowy wzdłuż linii zgięcia. Wykonać nacięcia w rękawach, po zaopatrzeniu takowych watą i atłasem, wystębnować dolny brzeg na 14 centim. wysokości, zmarszczyć od $\frac{1}{2}$ do $\frac{1}{2}$ oraz od 59 do 60, wykonać szew, połączyć rękawy od 60 do 61 i od 62 do 63 i wszyć trafiając 63 w 63.

Przycisk do listów ozdobiony haftem.

Rycina Nr 17 i 18.

Przycisk 21 cent. dług. a 15 cent. szer., pokryty pluszem koloru miedzianego, na czym umocowana kotazia nikłowa do przytrzymywania listów. Haft wykonać podług ryc. Nr 18 filozelą rozpolowioną ścięciem płaskim i gałązkowym. Listki pojedyncze ścięciem długim złotą nitką. Środki kwiatków i pączki bajorkiem koloru miedzianego.

Spódniczka wykonana na drutach.

Rycina Nr 20.

Materiału potrzeba 550 gram

Spódniczka wykonana cienką ponsową włóczką na stalowych drutach. Składa się z 8 pasów połączonych z sobą ściętymi oczkami. Dolna część otoczona rzędem pikotów, górna zaś paskiem wykonanym szydełkiem. Każdy pas rozpocząć od dolnego brzegu na założeniu 68 oczek, na których wykonywać robotę tam i napowrót jak następuje: 1 do 3 kolei przerabiać w sposób, ażeby prawa strona przedstawiała lewą. — 4 kolej: (prawa strona roboty) * 2 ocz. zwyczajnie razem przerobić, 3 ocz. zwycz., drut owinać, 1 ocz. zwycz., drut owin., 3 oczka zwycz., 2 oczka zwycz. razem przerobić, od * 5 razy powtórzyć. — 5 kolej odwrotnie. — 6 i 7 kolej jak 4 i 5. — 8 kolej jak 4. — 9 kolej zwycz. — 10 do 14 kolej jak 4 do 8. Powtórzyć jeszcze 4 razy kolej 1 do 14 i potem jeszcze raz kolej 1 do 3. — 74 kolej zwyczajnie, ale w równych odstępach 3 razy 2 ocz. zwycz. razem przerobić. Liczba oczek powinna zamiast 68 tylko 65 przedstawiać, oprócz tego w każdej następnej kolej aż do zakończenia pasa pierwsze i ostatnie 3 oczka oprócz zebranego na drut, przy rozpoczęciu i zwyczajnie

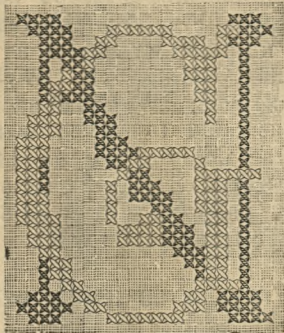


Nr 12. Płaszczyk dla panienki od 12—14 lat do ryc. Nr 10). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 43—47.

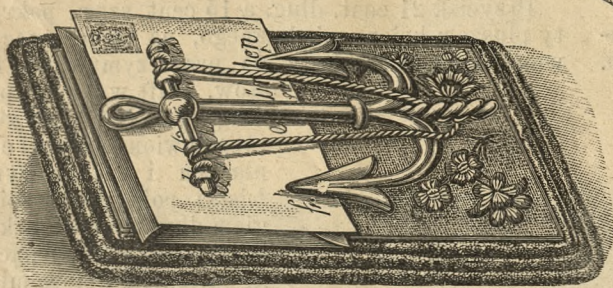
Nr 13. Paltocik dla panienki od 14 do 16 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25—30).

Nr 14. Płaszczyk dla panienki od 8—10 lat (do ryc. Nr 7) Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 48—56.

przerobio-
nego na końcu.
ciągle zwyczaj-
nie przerabiać,
czego dalej powta-
rzać nie będziemy. — 75
kolej: 5 razy naprzemian:
7 ocz. zwycz., 3 ocz. odwrot.
potem 7 ocz. zwycz., 76 i 77
kolej tak wykonać, jakby oczka
poprzedniej kolei wydawały się na
tej stronie prze-
robione. — 78 ko-
lej: zwycz. 79
kolej: 2 ocz. zwy-
czaj., 5 razy
naprzemian 3
ocz. odwr., 7 ocz.
zwycz., potem 3
ocz. odwr., 2 ocz.
zwycz. — 80 ko-
lej do 82, jak 76
do 78. Powtó-
rzyć 32 razy ko-



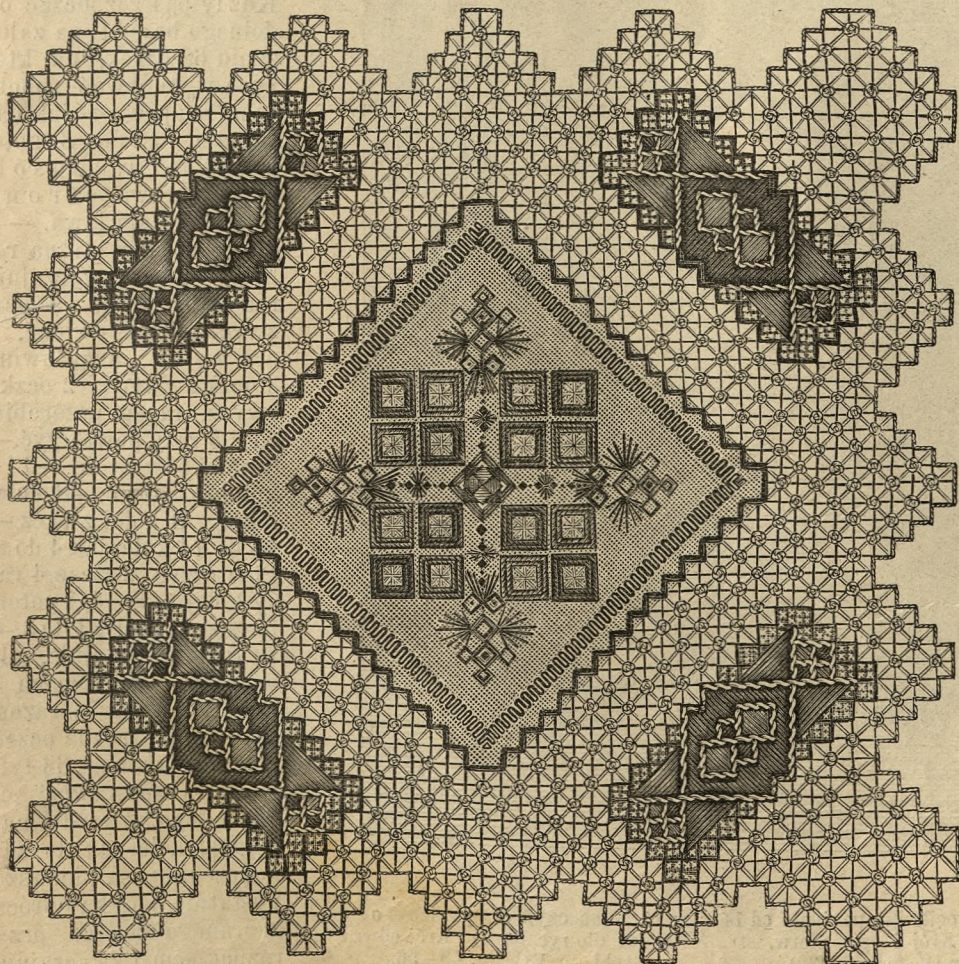
Nr 16. Monogram.



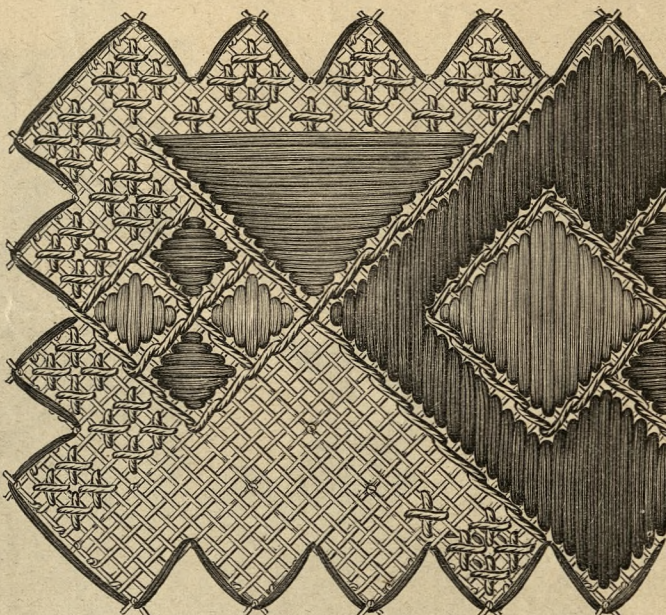
Nr 17. Przycisk do listów ozdobiony haftem (do ryc. Nr 18).



Nr 18. Haft przycisku Nr 17.



Nr 21. Serwetka (robota siatkowa i ściąg płaski (do ryc. Nr 15 i 19)

Nr 15. Czwarta część kwadra-
tu do serwetki Nr 21 (wielkość
oryginalna).

Nr 19. Połowa figury do serwetki Nr 21 (wielkość oryginalna).

Nr 20. Spódniczka wykonana
na drutach.

Bulionu z grzybów robić nie można, przechowywać je w suchym
miejscu można parę lat, ale aromat nie będzie już tak silny. Szczaw
póki jest świeży i młody w ogrodzie zawsze można marynować.

UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odno-
sząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze
Bluszczu podać się mających.

lej 75 do 82,
ale w pierw-
szej kolei 28
powtórzenia nale-
ży ujmować ciągle
pierwsze 2 o. z 7 ocz.
wykonanych zwycz. tak,
że w następ. kolejach za-
7 ocz. tylko 6 pozostanie
przerobić w 5 kolei przy rozpo-
częciu zamiast 2 ocz. zwycz. tylko
1 ocz. zwycz. wykonać. W 1 kolei
31 powtórzenia tak samo ujmować, a
więc w następnych kolejach zamiast 6
tylko 5 przerobić i 1 o. zwycz. w 5 kolei
zgubić. Na zakończenie obydwu rzędów razem
przerobić i na początku oraz na końcu ostatniej
kolei jednocześnie 1 ocz. ująć. Następnie 30 ko-
lei ściąganiem żeberkowym ciągle naprzemian: 2 ocz.
zwycz., 2 ocz. odwr., przyczem oczka odczepić. Tylny
pas powinien być równy a więc wcale ocz. gubić nie na-
leży a wykonać rozporek. Górną część czyli pasek jak
następuje: 10 kolei ścis. ocz. Co do rzędu pikotów cią-
gle naprzemian: 1 ścis. ocz. w 2 z rzędu ocz., 1 pikot
czyli 2 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w poprzednie ścis. oczko.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa śliwkowa z grzankami.
2. Pekefleisz, purée z grochu.
3. Kalafior.
4. Zając z borówkami.
5. Krem waniljowy.

Korespondencya.

Odp. p. J. Z...

Prosimy o wytłumaczenie jakiego ptastwa pani żąda, czy drobiu, czy też ptaszków trzy-
manych w klatkach?

Odp. Wołyniance.

Plusze mniej są już noszone, jed-
nak są osoby, które w nich gustują.

Odp. p. Eker...

Nie można inszych rękawów da-
wać jak zwyczajne paltotowe.

Odp. Nieznajomej.

Żałoba po rodzeństwie nosi się
bez welonu i bez krepy. Czarna
wełna a później jedwab, czas do-
wolny, zwykle jednak nosi się pół
roku.

Odp. p. Elżbiecie M...

Dziękuję pani za ofertę, ale ko-
rzystać z niej nie mogę.

Odp. p. J. D...

Na pokrycia futer najmodniejsze
desenowane wełny, w kolorach:
czarnym i popielatym. Żakiety ani
dłuższe ani krótsze nie podszywają
się futrem, gdyż okrycie futrzane
powinno być długie, krótkie pogrubia całą postawę.

Odp. p. Wandzie S.

Bulionu z grzybów robić nie można, przechowywać je w suchym
miejscu można parę lat, ale aromat nie będzie już tak silny. Szczaw
póki jest świeży i młody w ogrodzie zawsze można marynować.